

Grace Green

Każdemu zdarza się cud

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pewnego grudniowego popołudnia Damian McAllister, dyrektor firmy McAllister Architectural Group, nagle uderzył pięścią w biurko i siarczyście zaklął. Przyczyną jego irytacji był jaskrawy neon nad sklepem z zabawkami, po przeciwnej stronie ulicy. Już od listopada kolorowy napis mrugał jakby na ironię i powoli doprowadzał McAllistera do szewskiej pasji. Najbardziej złościły go słowa:

Życzymy Wesołych Świąt w kręgu rodziny

Wyskoczył zza biurka, gniewnie mrużąc:

– Mam dość i nie zniosę tego ani chwili dłużej!

Pani Sutton!

Sekretarka, pani w starszym wieku, westchnęła niezadowolona i odłożyła paczka, którym się delektowała. Ociężale wstała i bez pośpiechu skierowała się do gabinetu szefa. Nie uszło jej uwagi, że McAllister ma potargane włosy i podejrzenie błyszczące oczy, a mimo to jak zwykle pomyślała, że gdyby była o trzydzieści lat młodsza i niezamężna, jej serce należałoby do niego.

– Słucham pana.

McAllister rzucił jej ponure spojrzenie spode łba.

– Proszę odwołać wszystkie spotkania lub przełożyć je na styczeń. Wyjeżdżam na wieś trochę wcześniej, niż zamierzałem.

Stał tyłem do okna, więc nie widział sklepu, lecz zdawało mu się, że neon miga na ścianie.

– Przepraszam, że pytam, ale... czy źle się pan czuje? – zaniepokoiła się Marjorie Sutton. – Jest pan taki blady, jakby... widział ducha albo...

Nie wypadało mu się przyznać, że prześladowuje go duch ostatnich kilku świąt Bożego Narodzenia, więc powiedział niechętnie:

– Czuję się wyjątkowo paskudnie. Pewno bierze mnie grypa, która od jakiegoś czasu tutaj grasuje. – Rozwiązał krawat. – Teraz...

– A co z przyjęciem w piątek?

– Nic nie wiem...

– Przyjęcie wydaje pan Anthony Gould. Zapomniał pan, że przyjął zaproszenie przysłane miesiąc temu?

Przed miesiącem McAllister postanowił wziąć się w karby i nie uciekać przed Bożym Narodzeniem. Był przekonany, że tego roku spokojnie przeżyje okres przedświąteczny.

– Pamiętam, że pan Gould chce wszem i wobec zaprezentować kolejną przyjaciółkę. – Chrząknął i skrzywił się, ponieważ

zabolało go gardło. Wyjął z szuflady pastylkę, którą połknął bez popijania. – Proszę mnie jakoś usprawiedliwić. Nie mam najmniejszej ochoty oglądać tego, jak bożyszczce Bostonu popisuje się nową zdobyczą...

– Ależ, proszę pana!

Czuł, że kręci go w nosie i do oczu napływają łzy, więc zawstydzony rzekł pospiesznie:

– Proszę zadzwonić i podać jakąś rozsądną wymówkę.

Pani to umie robić. O, dziękuję. – Wziął chusteczkę, którą sekretarka usłużnie wyjęła z pudełka, stojącego obok komputera. – Niech mnie pani uwolni od wszystkich zobowiązań. Pani Sutton spokojnie czekała, aż minie atak kaszlu i kichania.

– Oczywiście. Czy ma pan jeszcze jakieś zlecenia? McAllister włożył marynarkę, wziął dyplomatkę i otworzył drzwi.

– Nie. Wiem, że pani i tak wszystko idealnie załatwi bez mówienia.

Sekretarka stanęła przy swoim biurku z taką miną, jak gdyby na coś czekała. McAllister zaklął w duchu, ponieważ nie lubił składania życzeń, a wiedział, że go to nie minie. Otworzył usta, aby powiedzieć „Wesołych Świąt”, lecz słowa uwięzły mu w gardle i dlatego tylko mruknął coś niezrozumiałego, łudząc się, że sekretarka odczyta to jako życzenia. Zły na siebie i na nią niemal wybiegł z biura.

Wyjeżdżając z podziemnego garażu, odwrócił wzrok, aby nie widzieć sklepu z zabawkami pod niemądram, według niego, nazwą: „Zabawki. Plusz i już”. Skierował całą uwagę na jezdnię, a mimo to kątem oka widział neon, który bezustannie mrugał czerwonymi i zielonymi literami. Na domiar złego z samochodu na sąsiednim pasie dolatywała głośna muzyka. Znany piosenkarz tęsknie śpiewał o tym, że miłość może zjawić się w dzień Bożego Narodzenia.

Stephanie Redford rozglądała się niespokojnie, ponieważ w tłumie eleganckich gości nie mogła dostrzec pana domu, a chciała niezwłocznie z nim porozmawiać. Przed chwilą bowiem usłyszała coś, co należało od razu wyjaśnić.

Ktoś dotknął jej obnażonych pleców, więc odwróciła się tak gwałtownie, że rozlała szampana. Przed nią stał Anthony Gould, wysoki, barczysty mężczyzna o płowych włosach i bladoniebieskich oczach.

– Kochanie – szepnął czule, wpatrzony w nią z zachwytem – jestem dumny z ciebie, bo robisz furorę. – Pieszczotliwym gestem pogładził jej nagie ramię. – Chodź, przedstawię cię Cabotom, którzy bardzo chcą poznać przyszłą panią Gould...

– Tony, pani Whitney powiedziała mi, że...

– Mów ciszej. – Po twarzy Goulda przemknął ledwo

dostrzegalny cień irytacji. – Paula Whitney stoi niedaleko i patrzy na nas.

Wziął narzeczoną za rękę i kłaniając się na prawo i lewo, wyprowadził do dużego przedpokoju. Przyjęcie odbywało się w świeżo odnowionym mieszkaniu i Stephanie wiedziała, że Anthony pragnie, aby wystawna kolacja się udała i nic nie zmaćło dobrego nastroju gości.

– No, słucham – zaczął z uśmiechem na ustach, lecz z gniewem w oczach. – Kochanie, o co ci chodzi?

Stephanie ostrożnie postawiła kieliszek na stoliku w stylu Ludwika XVI.

– Dowiedziałam się, że przyjąłeś drugie zaproszenie na święta. Państwo Whitneyowie bardzo się cieszą, że pojedziemy do nich do Aspen...

– A ty będziesz zachwycona, bo na pewno nigdy nie byłaś w górach w równie wspaniałych warunkach. Ale mają chatę! Istne cacko. Zobaczysz, że nie pożałujesz.

– Ale przecież dawno temu uzgodniliśmy, że pojedziemy do Rockfield i spędzimy święta z moją rodziną. Od wielu lat Redfordowie spędzają Boże Narodzenie razem. To nasza tradycja.

Anthony ujął jej dłoń i długo wpatrywał się w pierścionek z olbrzymim szafirem.

– Moja droga – zaczął łagodnie – wkrótce się pobierzemy,

będiesz nosiła moje nazwisko i zaczniemy tworzyć naszą własną tradycję. Muszę ci powiedzieć, że podobasz się wszystkim moim znajomym, podbiłaś Laskersów i Gibsonów, a nawet Loebów...

– Nie zagaduj mnie. – Odsunęła się zdegustowana. – Moi rodzice chcą cię poznać i obiecałeś...

– Tak, kochanie, ale sytuacja diametralnie się zmieniła.

– Patrzył na nią przymilnie. – Myślałem, że Whitneyowie pojedą za granicę, bo taki mieli plan. Tymczasem zostają i proszą znajomych narciarzy do siebie, a takie zaproszenie to wyróżnienie...

– Jak dla kogo. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Chcę jechać do domu, a nie do Aspen.

Oboje czuli, że napięcie doszło do niebezpiecznego punktu. Anthony'emu pociemniały oczy, chrząknął i nerwowo się zaśmiał, ale opanował się szybko i spytał z lekką ironią:

– Czyżby zanosilo się na pierwszą kłótnię?

Objął ją mocno, a Stephanie nie zdołała oprzeć się czarowi pocałunku. Była bardzo zakochana i przekonana, że Tony darzy ją głębokim uczuciem, ponieważ wielokrotnie przysięgał, iż poświęci życie uszczęśliwianiu ukochanej. Wierzyła, że nie zawiedzie jej w tak istotnej sprawie jak Boże Narodzenie w Rockfield.

Gdy odsunęła się, na jej ustach igrał czuły uśmiech.

– A więc postanowione i jedziemy do moich rodziców? – zapytała bez cienia wątpliwości.

– Uparciuchu! – W jego głosie zabrzmiała hamowana złość. – Nie słyszałaś, co mówiłem? Jedziemy do Aspen. Dobrze wiesz, ile Whitneyowie dla mnie znaczą. Gdy otworzyłem kancelarię, byli moimi pierwszymi klientami, a są wpływowymi ludźmi...

– Nie rozumiesz najważniejszego. – Trzęsącą się ręką odsunęła włosy, spływające ciemną falą na ramiona. – Według moich zasad obowiązuje dane słowo. Musisz przeprosić państwa Whitneyów i powiedzieć, że zapomniałeś o wcześniejszym zobowiązaniu. Sprawiają wrażenie rozsądnych ludzi, więc chyba zrozumieją.

– Widzę, że trzeba postawić sprawę jasno. Ja jadę do Aspen, a ty masz do wyboru: albo spędzisz Boże Narodzenie w Vermont z rodziną, albo w Kolorado ze mną.

Przez kilka sekund wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

– To wybór czy... ultimatum?

– Jak zwał, tak zwał. – Lekceważąco wzruszył ramionami. – Mnie jest wszystko jedno.

Zrobiło się jej niezmiernie przykro, że nie mogą dojść do porozumienia. Jej zdaniem nie było żadnego wyboru, ponieważ wcześniej obiecała rodzicom, że na święta przyjadą do nich.

Drżącymi palcami zdjęła pierścioneł i położyła na wyciągniętej dłoni. Narzeczony ani drgnął, a jej przemknęła niewesoła myśl, że

prawdopodobnie pierwszy raz w życiu Anthony Howard Gould III spotkał się ze stanowczym sprzeciwem.

– Nie widzę innego wyjścia. – Odłożyła pierścionek na stolik. – Zabieram rzeczy i wracam do domu.

– Dziewczyno, zastanów się i nie rób głupstwa. – Anthony odzyskał mowę i w jego głosie brzmiało coś na kształt prośby. – Co ja powiem Whitneyom? Co mam...

Bez słowa wyminęła go i poszła do sypialni. Starła się panować nad sobą, nie wybuchnąć płaczem.

Na przykrytym purpurową kapą łóżku leżała niebieska płócienna torba, w której przywiozła nocną koszulę z pięknej, czarnej koronki. Chciała włożyć ją wieczorem, przed pierwszą razem spędzoną nocą.

Nerwowym gestem zaciągnęła zamek, włożyła długi, czerwony płaszcz, torbę przewiesiła przez ramię, wyszła do przedpokoju i nieśmiało obejrzała się za siebie. Serce ją zakłuło, gdy zobaczyła, że Anthony pobladł śmiertelnie i wciąż stoi w tym samym miejscu. Na ułamek sekundy zawahała się, co robić, zaraz jednak otuliła się płaszczem i mocno zacisnęła usta. Uważała, że nie należy wiązać się z człowiekiem, który nie dotrzymuje danego słowa. Ta cecha charakteru zawsze budziła w niej niesmak.

Zapewne miał i inne wady, lecz zaślepiona uczuciem nic nie widziała. Zresztą musiała uczciwie przyznać, że oprócz miłości

ogromną rolę odegrała też próżność. Pochlebiało jej, że została wybranką jednego z najbardziej pożądanых kawalerów w Bostonie. Za późno pomyślała, że wiązanie się z człowiekiem z tak zwanej wyższej sfery niesie ryzyko. Przysięgła sobie, że zapamięta nauczkę i nigdy więcej nie popełni podobnego błędu.

Gruby dywan tłumił jej kroki, więc słyszała jedynie głucho bicie własnego serca. Po wejściu do windy obejrzała się jeszcze raz. Przedpokój był pusty. Zrobiło się jej przykro, że narzeczony wrócił do gości, zanim ona zniknęła mu z oczu.

Janey Martin leżała na łóżku i przyglądała się przyjaciółce, wkładającej pluszowe zwierzęta do dużej torby.

– Ten cały Gould jest pozerem, a na dodatek bałwanem – orzekła. – Też pomysł, żeby na Boże Narodzenie jechać do obcych ludzi. Życzę mu, żeby połamał ręce i nogi.

Stephanie, która wolała nie komentować takiej nieżyczliwości, z trudem upychała w torbie półmetrową żyrafę.

– Jest ślepy i ograniczony – ciągnęła Janey. – Według mnie całkiem postradał zmysły, bo gdzie znajdzie drugi taki skarb. Choćby szukał sto lat, nie spotka dziewczyny takiej jak ty. Wcale nie mówię o urodzie, chociaż pod tym względem nie ustępujesz gwiazdom z Hollywoodu. Ale masz szczerzłoty charakter, a to rzadkość.

Stephanie obwiązała torbę sznurkiem, zaciągnęła pod ścianę i

postawiła obok trzech innych, równie pękatych. Wyprostowała się i poprosiła:

– Wybacz, nie chcę już o nim słuchać.

– Dobrze... Ale miał cię zawieźć do Rockfield porządnym samochodem, a zostałeś na lodzie i musisz jechać swoim autem, które nie jest pierwszej klasy i...

– Ojciec mi podreperuje.

– Powinnaś dać do naprawy przed wyjazdem.

– Nie mam pieniędzy.

– To dlatego, że ostatnio wykosztowałaś się na stroje. Po co kupiłaś bluzkę u Ferauda, za którą nieźle przepłaciłaś? Wyskoczyłaś ponad stan...

– Przestań!

– Dobrze, dobrze. – Przyjaciółka nachmurzyła się. – Po prostu martwię się, że utkniesz gdzieś po drodze, a zimą to średnia przyjemność. Dlaczego nie jedziesz autobusem?

– Wyobrażasz sobie podróż z takimi tobołami?

– Przecież możesz zostawić prezenty. Założę się, że dzieci i tak dostaną za dużo.

– Mylisz się. Boże Narodzenie bez pluszowych zwierzaków byłoby nieważne, bo zabawki ode mnie są największą atrakcją. – Wytarła brudne ręce o spodnie. – Wiesz, co ci powiem? Byłabym wdzięczna, gdybyś przestała się czepiać, a pomogła mi znieść

pakunki do samochodu.

Podeszła do lustra i połykając łzy, włożyła czerwony płaszcz i czerwony toczek z białym futerkiem. Taki strój wcale nie pasował do jej minorowego nastroju, lecz opanowała się i odwróciła z uśmiechem na ustach.

– No, jestem gotowa.

– Dzwoniłaś do rodziców? – zainteresowała się Janey. – Uprzedziłaś, że przyjedziesz dużo wcześniej?

Stephanie zajrzała pod fotel na biegunach, skąd wyciągnęła pluszowego misia.

– Patrz, gdzie się zawieruszył. Dobrze, że go zauważyłam, bo ten puchatek wyjątkowo mi się udał. Ładny prezent?

Próbowała włożyć misia do torby z ubraniami, ale nie zmieścił się. Wystawała głowa i jedna łapka.

– Steph... pytałam o rodziców – zirytowała się Janey.

– Oj, ale nudzisz... Nie zawiadomiłam ich, żeby nie martwili się na zapas, bo wiesz, jak to jest. Porozmawiamy na miejscu.

– A co ze sklepem?

– Joyce twierdzi, że da sobie radę. Zresztą pomoże jej Gina, która potrzebuje pieniędzy na wesele. W marcu wychodzi za mąż.

– Czyli o wszystkim pomyślałaś. – Janey wzięła dwie pomarańczowe torby. – Uf, ale nieporęczne. Jak długo będziesz jechała?

– Cztery albo pięć godzin. – Stephanie pociągnęła torby do drzwi. – Na pewno już jest duży ruch przedświąteczny, ale ostatnio nie padało, więc mam nadzieję, że wszystkie drogi są przejezdne.

– Jeśli dobrze pójdzie, dojedziesz do Rockfield przed zmierzchem.

W Bostonie pogoda była ładna, lecz w Montpelier, gdzie Stephanie musiała uzupełnić zapas benzyny, niebo poszarzało i chmury zawisły nisko nad ziemią.

– Prędko zrobi się ciemno – zauważył obsługujący ją lnianowłosa mężczyzna. – Na wieczór zapowiadano śnieżyce. Daleko pani jedzie?

– Do Rockfield.

– Spory kawał! Nie zazdroszczę jazdy. Niech pani bardzo uważa na bocznych drogach, bo o tej porze roku bywają zdradliwe.

– Będę uważać – powiedziała z niepewnym uśmiechem. Miała zamiar jechać wolno i ostrożnie, a tymczasem samochód wcale nie dał się uruchomić. Wystraszyła się więc, że w ogóle nie dojedzie do domu. Po kilku nieudanych próbach, odrzuciła pychę i poszła szukać pomocy.

Mechanik obejrzał dokładnie samochód, podrapał się w głowę i

oznajmił:

– Mogę naprawić, ale będę wolny dopiero pod wieczór.

Decyduje się pani, żeby odebrać o dziewiątej?

– Nie można wcześniej? Co ja mam tak długo tu robić?

– Co pani chce. Niedaleko są sklepy, kawiarnia, kino. Radzę iść do kina.

Najpierw zajrzała do sklepów, ponad godzinę spędziła w księgarni, wstąpiła do kawiarni, a potem poszła do kina. Seans skończył się przed dziewiątą i gdy wyszła na ulicę, owiał ją przejmujący wiatr. Zmartwiona pomyślała, że istotnie zanosi się na przepowiadaną śnieżycę. Podniosła kołnierz płaszcza i różnym krokiem wróciła na stację benzynową.

Mechanik okazał się człowiekiem słownym. Stephanie wylewnie mu podziękowała, zadowolona, że ma teraz sprawny samochód, więc bezpiecznie dojedzie do Rockfield.

Zamieć dogoniła ją, ledwo zjechała z autostrady na boczną drogę. Mokry śnieg zacinał i oblepiał przednią szybę tak prędko, że wycieraczki nie nadążały z usuwaniem go. Stephanie przemknęła przez głowę smutna myśl, że w samochodzie Tony'ego byłaby bezpieczna.

– Nie ma co gdybać – mruknęła na głos. – Tony nie jest dla mnie, a ja dla niego. Dobrze, że zawczasu wyszło szydło z worka.

Po godzinie zorientowała się, że zabłądziła; powinna już jechać

pod górę, a tymczasem zjeżdżała w dół. Widocznie w którymś momencie skręciła na niewłaściwą drogę i nie zorientowała się, dokąd ona prowadzi.

Nagle zrobiło się niebezpiecznie stromo, więc nacisnęła hamulec, ale samochód mimo to nabierał szybkości. Nacisnęła pedał mocniej, lecz bez skutku.

Wystraszona przestała panować nad kierownicą, więc samochód wpadł w poślizg. Nim zdała sobie sprawę, co się dzieje i czym to grozi, utknęła w wielkiej zaspie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Damian McAllister wyjechał z Bostonu z wysoką gorączką, prawie nieprzytomny dotarł na miejsce, a od garażu do domu szedł, zataczając się i przewracając.

Teraz, leżąc w łóżku, słyszał uporczywe stukanie, jakby młotkiem, oraz dzwonienie, które nie ustawało, a nawet nasilało się, stawało się coraz głośniejsze, natrętne, przerażające. Dzwonek dzwonił jak w sądny dzień, jakby chciał wszystkich zmarłych obudzić z wiecznego snu.

Chory jęknął z rozpacz, wtulił twarz w poduszkę i mruknął zachrypniętym głosem:

– Przestań! Miejże litość i zostaw mnie w spokoju.

Był przekonany, że odgłosy powstają w jego chorej, skołatanej głowie, jako jeszcze jedna udreka, związana z grypą. Stukanie nie ustawało, więc doszedł do wniosku, że to jednak nie są skutki grypy. Widocznie ktoś dobijał się i nie zamierzał odejść, póki nie otrzyma tego, po co przyszedł.

Uznał, że lepiej zejść na dół i pozbyć się natręta. Klnąc na czym świat stoi, z trudem wstał i naciągnął spodnie. Wyszedł z pokoju, trzymając się poręczy łóżka oraz krzesel. Zejście po schodach trwało bardzo długo.

Na parterze paliły się wszystkie światła, a za oknami była czarna noc. Zataczając się od ściany do ściany, z trudem szedł przez przedpokój i wreszcie, zziębnięty, spocony, całym ciężarem oparł się o drzwi frontowe. Gdy dzwonek zadźwięczał tuż nad jego uchem, głowę przeszył mu świdrujący ból.

– Cierpliwości! – wycharczał. – Pali się czy co? Niezdarnie odciągnął zasuwę i otworzył drzwi, a wtedy dwie obce sobie osoby stojące naprzeciw siebie zdumiały się jak nigdy w życiu. W przedpokoju stał zarośnięty mężczyzna, którego nagą pierś owiał lodowaty wiatr, a za progiem młoda kobieta, wyglądająca jak baśniowa zjawa. Była obsypana śniegiem od stóp do głów i ubrana w czarne buty, czerwony płaszcz i zawadiacko przekrzywiony czerwony toczek z białym futerkiem. W skórzanej torbie, przewieszanej przez ramię, McAllister dostrzegł... Nie, to niemożliwe. Ze strachu, że majaczy, przymknął oczy, ale gdy je otworzył, z torby nadal wystawał pluszowy miś.

Nieznajoma postawiła torbę na ziemi i odezwała się miłym, choć lekko drżącym głosem:

– Stukajcie, a będzie wam otworzone. Dzięki Bogu, doczekałam się! Już się bałam, że nikogo nie ma.

McAllister wiedział, że Święty Mikołaj jest mężczyzną i powinien wchodzić do domu przez komin. A tymczasem zjawiała się kobieta i zastukała do drzwi. Przeszył go dreszcz i ugięły się

pod nim kolana, więc aby się nie przewrócić, kurczowo chwycił klamkę. Poczuł, jak lodowate powietrze wbija się szpilkami w nagą skórę.

– Proszę iść z prezentami dalej – wychrypiał. – To niewłaściwy adres, bo ja nie świętuję Bożego Narodzenia.

Zjawa przysunęła się, uniemożliwiając zamknięcie drzwi. Błagalnie załamała ręce i zawołała:

– Proszę mnie poratować!

Dopiero teraz zwrócił uwagę na wielkie zielone oczy, ocienione długimi rzęsami. Oczy zmęczone i zaczerwienione, jakby od łez. Zawahał się, ponieważ niejasno czuł, że lepiej mieć się na baczności.

– Czy mogłabym skorzystać z telefonu? – ciągnęła nieznajoma.

– Miałam wypadek i mój samochód utknął w zaspie niedaleko pana domu.

– Chce pani wezwać karetkę?

– Nie. Jestem trochę potłuczona, ale dzięki Bogu nic mi się nie stało. Muszę zadzwonić po pomoc drogową, bo sama nie wyjadę. Trzeba mnie wyciągnąć. Przysięgam, że nie chcę nadużywać pańskiej uprzejmości i odejdę, gdy tylko to będzie możliwe.

McAllister dziwił się coraz bardziej. O ile dobrze pamiętał, Święty Mikołaj przyjeżdżał saniami z zaprzęgiem reniferów. Czyli to też się nie zgadzało. Wiedział, że powinien zachować

ostrożność, lecz uległ błagalnemu spojrzeniu i szerokim gestem zaprosił niespodziewanego gościa do środka.

Kobieta otrzepała śnieg z butów i weszła, rozsiewając wokół siebie zapach delikatnych perfum. Damian zamknął drzwi na zasuwę i chwiejąc się, zaprowadził ją do pokoju.

– Przepraszam, gdzie jest telefon?

– Tam. – Odkasznął kilkakrotnie i ręką wskazał ławę. Wzdrygnął się, ponieważ przebiegł go zimny dreszcz. Było mu to zimno, to gorąco i w głowie huczało, więc pragnął jedynie tego, by znaleźć się pod kołdrą. – Proszę zadzwonić.

Nieznajoma zdjęła toczek i wtedy na jej ramiona spłynęła kaskada kasztanowatych loków. Miała niezbyt wysokie czoło, zadarty nos i dołeczek na lewym policzku. Rozpięła płaszcz, wyjaśniając:

– Jeśli pan pozwoli, rozepnę się, bo w przeciwnym razie po wyjściu będzie mi potwornie zimno.

– Lepiej w ogóle zdjąć.

Powiesiła płaszcz na fotelu koło kominka. Była ubrana w czerwony sweter i kremowe spodnie, wsunięte w wysokie kozaczki. Spojrzała na pana domu i niepewnie się uśmiechnęła.

– Przepraszam, ale straciłam orientację i nie wiem, gdzie jestem, a przecież muszę podać adres.

– Wystarczy powiedzieć, że jest pani u McAllistera, przy

drodze do Tarlity – odparł zachrypniętym głosem. – Mam grype, więc wybaczy pani, ale brak mi sił, żeby dotrzymać pani towarzystwa. Proszę się nie kępować i czuć jak u siebie w domu. Książka telefoniczna leży na podłodze. Najlepiej zadzwonić do Boba Granthama, jest solidny.

Chwiejnie skłonił się i wyszedł. Zanim dotarł na półpiętro, usłyszał rozmowę, co oznaczało, że gość znalazł numer i dodzwonił się do firmy, którą polecił.

Zamknął drzwi sypialni, po omacku doszedł do łóżka, położył się i naciągnął kołdrę po same uszy. Zdawało mu się, że nigdy się nie rozgrzeje i nie uśnie, a tymczasem niebawem spał jak kamień.

– Niestety, muszę panią zmartwić – powiedział Bob Grantham – ale nie ma mowy, żeby dzisiaj ktoś przyjechał.

– Naprawdę nie da się nic zrobić? To okropne! Bo wie pan, utknęłam gdzieś w szczerym polu i dzwonię z domu obcego człowieka. – Osłoniła słuchawkę ręką, zniżyła głos i dodała prawie szeptem: – Może to zbój Madej...

Po drugiej stronie rozległ się homeryczny śmiech.

– Ha, ha, ha! Dobrze sobie! Twierdzi pani, że dzwoni z domu pana McAllistera...

– Takie nazwisko mi podał.

– Znam go od lat, to bardzo przyzwoity człowiek. Jest wprawdzie odludkiem, ale taki z niego zbój Madej jak ze mnie.

– Przecież...

– Daję pani słowo. Przepraszam, muszę kończyć, bo telefon się urywa. Postaram się jutro kogoś podesłać. Oczywiście, jeśli pogoda pozwoli.

Odłożył słuchawkę, więc na tym rozmowa się skończyła.

Stephanie siedziała nieruchomo, ponurym wzrokiem wpatrując się w telefon. Zastanawiała się gorączkowo, jak powinna postąpić i jakie jest najlepsze wyjście z nader kłopotliwej sytuacji. Po głębokim namyśle doszła do wniosku, że właściwie nie ma żadnego wyjścia. Musi poprosić niezbyt miłego gospodarza o nocleg. Na dobrą sprawę prośba była cczą formalnością. Raczej należało otwarcie powiedzieć, że znikąd nie otrzyma pomocy i wobec tego jest zmuszona spędzić noc pod jego dachem.

Z duszą na ramieniu poszła na piętro. Wprawdzie pan Grantham poręczył za gospodarza, lecz wcale nie była pewna, czy zarośnięty, półnagi mruk, który ją wpuścił, rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje. Możliwe, że to pan domu, lecz z drugiej strony... Zadrżała ze strachu, gdy przemknęła jej myśl, że równie dobrze może to być przestępca, który po zamordowaniu właściciela planuje mord następnej ofiary.

Na piętrze z czworga drzwi tylko jedno były zamknięte.

Kolejno zajrzała do otwartych pokoi, które okazały się puste, po czym z ociąganiem podeszła do czwartego.

Nacisnęła klamkę i ostrożnie uchyliła drzwi. W słabym świetle, padającym z korytarza, zobaczyła kontury dużego łóżka, w którym ktoś leżał.

– Panie McAllister! – szepnęła, stojąc wciąż za progiem. – Śpi pan?

Nie otrzymała odpowiedzi. Gdy nieśmiało, na palcach weszła do środka, usłyszała chrapanie. Zbliżyła się do łóżka i delikatnie dotknęła śpiącego.

– Panie McAll...

Nie dokończyła, ponieważ mężczyzna jęknął i wykrztusił chrapliwie:

– Zgiń, przepadnij, maro przebrzydła! Odwrócił się i wsunął głowę pod kołdrę.

– Bardzo mi przykro, ale muszę tu zostać na noc – ciągnęła z bijącym sercem. – Uważałam, że powinnam pana uprzedzić. Czy mogę przenocować?

Nie odezwał się, więc sądziła, że nie usłyszał, lecz gdy się odwracała, zauważyła wyciągniętą rękę z podniesionym kciukiem.

– Och, dziękuję.

Wyszła z sypialni i cichutko zamknęła drzwi. Z sąsiedniego pokoju zabrała kołdrę oraz poduszkę i zeszła na dół.

Na parterze znajdowała się nowocześnie urządzona kuchnia, gustownie umeblowana jadalnia oraz przytulny pokój z telefonem.

Łazienka była na końcu przedpokoju.

Stephanie umyła się trochę i wróciła do pokoju z telefonem. Włożyła krótką czerwoną koszulę, związała włosy i zgasiła górne światło. Dla dodania sobie otuchy zostawiła zapaloną lampkę przy kanapie. Zasypiając, ze strachem pomyślała, że jeśli w domu znajduje się morderca, chwile jej życia są policzone.

Wczesnym rankiem McAllister przewrócił się na wznak i wbił niezbyt przytomny wzrok w sufit. Przez całą noc dręczyły go koszmarne sny, lecz zdarzyło się to nie pierwszy raz; gdy miał wysoką temperaturę, na ogół majaczył. Tym razem jednak część halucynacji zdawała się namacalna i gotów był przysiąc, że wszystko zdarzyło się naprawdę.

Drżącą ręką otarł zroszone potem czoło.

W okresie Bożego Narodzenia zawsze męczyły go koszmarne sny, nawet w dzieciństwie. Dawniej były nieco łagodniejsze, lecz od pięciu lat stały się wprost nie do zniesienia. Doświadczenie nauczyło go, że wtedy najlepiej jest skierować myśli na inne tory i z niejakim wysiłkiem udało mu się to osiągnąć. Po kilku minutach odsunął kołdrę, przez chwilę siedział zgarbiony, po czym niepewnie wstał i na uginających się nogach poszedł do łazienki.

Przysiadł na szafce i z niesmakiem popatrzył na swe odbicie w lustrze. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, policzki

pokrywał ciemny zarost, oczy były mocno przekrwione.

– Ale gęba. Wyglądam jak typ spod ciemnej gwiazdy.

Wiedział, że powinien wykąpać się i ogolić, lecz czuł, że nie ustoi pod prysznicem. Uznał, że najpierw musi coś zjeść, a przynajmniej wypić. Najlepsza byłaby mocna kawa. Miał na nią taką ochotę, że zdawało mu się, iż czuje aromat świeżo zaparzonej kawy.

„... północny Vermont. Śnieżyca, jaka rozpętała się tam wczoraj, nadal szaleje i...”

Gniewnie marszcząc brwi, Stephanie wyłączyła radio. Nalała sobie kawy i podeszła do drzwi, wychodzących na podwórze na tyłach domu. Patrzyła, nie wierząc własnym oczom, ponieważ poza białym całunem, okrywającym świat, nic nie było widać. Pomyślała zdesperowana, że nie ma najmniejszej szansy na to, by w takich warunkach doczekać się jakiegokolwiek pomocy. Wcale nie uśmiechała się jej perspektywa przebywania nie wiadomo gdzie i nie wiadomo z kim...

– Dzień dobry – usłyszała za plecami.

Odwróciła się gwałtownie i niemal zakrztusiła kawą, której nie zdążyła przełknąć. W drzwiach stał wysoki, barczysty mężczyzna, ten sam, co poprzedniego dnia. Czyli McAllister, jeśli wieczorem nie kłamał.

Chwiał się na nogach i kurczowo trzymał futryny. Wyglądał tak

jak poprzednio: miał na sobie jedynie dżinsy, był nie ogolony i patrzył spode łba. Naprawdę mógł być zbiegłym zbrodniarzem. Dobrze, że nie miał pistoletu, lecz był tak potężnie zbudowany, że nie potrzebował żadnej broni, aby obezwładnić kobietę.

Nagle zorientowała się, że patrzy na jej gołe nogi, widoczne do połowy uda. Speszyła się i mocno zarumieniła. Sądziła, że wstała na tyle wcześnie, by przed przyjściem gospodarza zdążyć wypić kawę, umyć się i ubrać, a okazało się, że popełniła duży błąd.

– Dzień dobry. Nie lubię nikomu sprawiać kłopotu – zaczęła niepewnie – ale wczoraj był pan uprzejmy powiedzieć, że mogę przenocować.

– Czyli pani istnieje naprawdę.

– Jak to istnieje?

– Myślałem, że to był Święty Mikołaj.

– O czym pan mówi?

– Prawie wszystko pasuje. – Oparł się plecami o futrynę. – Czerwony płaszcz, biało-czerwone nakrycie głowy, torba z prezentami...

– Aha, a więc o to panu chodzi. – Roześmiała się perliście. – Torba jest pełna moich osobistych rzeczy, a nie zabawek. Misia dopakowałam w ostatniej chwili i dlatego wystawał.

Pan domu podrapał się po owłosionej piersi i ziewnął, ukazując rząd mocnych zębów.

– Dziś po przebudzeniu myślałem, że wczoraj miałem halucynacje. A renifery... przepraszam, pani samochód zdaje się utknął w śniegu?

– Niestety. Za późno zorientowałam się, że jest bardzo stromo i straciłam panowanie nad kierownicą. Wylądowałam w zaspie niedaleko stąd. Nie wyobraża pan sobie, jak się ucieszyłam, gdy zobaczyłam światło, bo to znaczyło, że w pobliżu jest dom i ludzie. Ale potem przeraziłam się, gdy...

– ... długo nie otwierałem – dokończył. – Pamiętam, że powiedziałem, żeby się pani rozgościła. – Znacząco popatrzył na filiżankę, którą trzymała w ręce. – Widzę, że dosłownie potraktowała pani moje słowa.

Stephanie wskazała filiżankę na stole.

– Chciałam panu zanieść kawę do sypialni.

– Gdybym to wiedział...

W jego głosie zabrzmiała podejrzana nuta, więc Stephanie wystraszyła się, że on ma zdrożne myśli.

– Pije pan z cukrem i śmietanką? – zapytała sucho.

– Bez cukru. Dziękuję.

Gdy ruszył w stronę stołu, zaczął podejrzanie się chwiać.

– Co panu? Jest pan chory?

Podbiegła, aby go podeprzeć i niemal ugięła się pod jego ciężarem. McAllister objął ją za szyję i dzięki temu zdołał

utrzymać równowagę. Jego ręka ciążyła jej niby stukilogramowa kłoda.

– Powinienem zostać w łóżku – mruknął.

– Pomogę panu wejść po schodach – zaproponowała, sapiąc z wysiłku. – No, zawracamy i idziemy.

Nie było to łatwe przedsięwzięcie, ponieważ chory słał się na nogach i chwiało na wszystkie strony, chociaż Stephanie ciągnęła go tylko w jedną. Po przejściu paru kroków zachwiało się mocniej i byłby się przewrócił, gdyby szli dalej od ściany. Na szczęście oparł się plecami o ścianę, a Stephanie, która kurczowo go trzymała, też się zachwiała i oparła o niego. Przez chwilę stali, głośno sapiąc i dysząc.

Czuła, że serce wali mu jak młotem, jest spocony i z trudem oddycha. Uświadomiła sobie, że znaleźli się w dwuznacznej sytuacji i chciała się odsunąć. McAllister przyglądał się jej spod czarnych rzęs, bardzo gęstych i lekko podwiniętych.

– Jest pani ślicznym stworzeniem.

Nie widziała jego oczu, ponieważ powieki mu się zamykały. Wystraszyła się, że jeszcze chwila, a zemdleje.

– O panu nie można tego powiedzieć – mruknęła. Chory zaśmiał się chrapliwie.

– Nie przeczę.

– Chyba nie dojdziemy do sypialni. Proponuję, żeby położył się

pan tu, na kanapie.

– Wolę iść do łóżka.

– Według mnie nie zdoła pan wejść na piętro. Proszę być posłusznym.

– Dobrze, siostró.

Z wielkim trudem doszli do pokoju. McAllister jak długi padł na kanapę, zamknął oczy i szepnął:

– Zimno mi. Proszę mnie czymś przykryć. Natychmiast spełniła polecenie, także i z tego powodu, że wołała nie patrzeć na jego obnażony tors. Zarośnięty pan domu wyglądał jak jaskiniowiec lub raczej jak Ursus. Niezbyt pociągająco.

– Napije się pan kawy?

Nie otrzymała odpowiedzi, więc usiadła na najbliższym krześle i pogрузzyła się w rozmyślaniach.

Ciekawa była, dlaczego jest sam. Szczególnie w okresie najbardziej rodzinnych świąt, gdy większość ludzi pragnie być razem z bliskimi, z którymi łączą ich miłość i tradycja. Przypomniała sobie słowa, jakie usłyszała zamiast powitania: „Proszę iść dalej, bo ja nie świętuję Bożego Narodzenia”. Ona nie mogła doczekać się spotkania z najbliższymi, a on nie uznawał Bożego Narodzenia. Pochyliła się ku niemu, jakby chciała zapytać: „Dlaczego nie lubi pan tych najpiękniejszych świąt?”.

Pan domu nawet we śnie wyglądał groźnie, być może z powodu

marsa na czole. W surowej twarzy jedynie ładne choć wąskie usta zdradzały, że kołaczą się w nim jakieś cieplejsze uczucia. Jednocześnie świadczyły, że wszystko jest pod kontrolą silnej woli.

Westchnęła z żalu nad nim.

Naraz chory drgnął, mruknął coś, co zabrzmiało jak „Ashley” i przewrócił się na bok. Spał do późnego popołudnia.

Po przebudzeniu przypomniał sobie, że powiedział nieznajomej, iż jest śliczna. Teraz, gdy ukradkiem ją obserwował, zmienił zdanie. Siedziała skulona w fotelu i czytała książkę. Była ubrana w turkusowy sweter i spodnie, włosy przewiązała turkusową aksamitką. W uszach miała srebrne kolczyki z zielonymi kamieniami pod kolor oczu. Obrzucił uważnym spojrzeniem jej smukłą sylwetkę, delikatne rysy twarzy oraz kasztanowe włosy o złotawym połysku i doszedł do wniosku, że jest bardzo piękna. Lecz jej uroda mogła okazać się dla niego niebezpieczna.

Pomyślał, że gdyby uznawał Boże Narodzenie, wierzyłyby również w cuda. I uważałyby, że los uśmiechnął się do niego i specjalnie przed świętami przysłał mu tę uroczą kobietę. Niestety, od dawna był przekonany, że cuda niekiedy zdarzają się innym, lecz nigdy jemu.

Po pewnym czasie chrząknął i zapytał:

– Jeszcze pani tu jest? Stephanie odłożyła książkę na stolik.

– Niestety. Jak się pan czuje?

– Trochę lepiej.

– To dobrze.

Przeciągnął się i włożył rękę pod głowę.

– Jaki mamy dziś dzień?

– Dwudziesty czwarty grudnia.

– Niemożliwe, już? – Uśmiechnął się kwaśno. – Czy można wiedzieć, dokąd pani jechała, zanim wylądowała u mnie?

– Do Rockfield, na święta. – Pochyliła głowę. – Nikt nie spodziewał się mnie wcześniej, bo zapowiedziałam, że przyjadę dopiero dzisiaj, ale tak się złożyło... Chciałam zrobić im niespodziankę.

– Im?

– Rodzinie, która mieszka w Rockfield. Należą do niej babcie, rodzice, ciotki, wujkowie, czterech braci z żonami i gromadą dzieci, począwszy od noworodka, a na przyszczatym wyrostku skończywszy.

McAllister poczuł ukłucie zazdrości.

– Wymarzona rodzina – mruknął. – Dla tylu osób pani ma tylko jednego misia?

– Skądże! – Roześmiała się radośnie. – W samochodzie jest pełno zabawek.

Jej błyszczące oczy nagle przygasły niby zdmuchnięta świeca. Westchnęła, podniosła się i podeszła do okna. Zamyślona długo stała bez ruchu, chociaż z powodu gęsto sypiącego śniegu prawie nic nie widziała. W pokoju zaległa cisza, natomiast za oknem hulał i wył wiatr.

– Chciałaby pani już jechać dalej, prawda? – zapytał McAllister ze współczuciem.

– Tak. – Zwróciła ku niemu smutną twarz. – Gdy pan spał, zadzwoniłam do pana Granthama. Powiedział, że będzie mógł przysłać kogoś, dopiero gdy zawierucha przejdzie i drogi zostaną odśnieżone. Coraz bardziej się boję, że to może potrwać do jutra.

Chory usiadł i po chwili ostrożnie wstał. Zachwiał się, więc Stephanie chciała mu pomóc, lecz powstrzymał ją, mówiąc oschle:

– Poradzę sobie. Trochę kręci mi się w głowie, ale to drobiazg. – Podeszedł do niej z wyciągniętą ręką. – Zbyt późno to robię, ale pani pozwoli, że się przedstawię. Jestem Damian McAllister.

– Miło mi. Stephanie Redford.

Stojąc tak blisko, nagle poczuł lekki zapach perfum, który przywodził mu na myśl mech, róże i... delikatne pocałunki. Przełknął głośno, wypuścił jej dłoń ze swojej i potarł zarośnięty policzek.

– Idę się umyć.

- A ja przygotuję coś do jedzenia, bo chyba jest pan głodny.
- W szafie i lodówce są pustki.
- Niezupełnie – powiedziała z wesołym błyskiem w oku. –

Ośmieliłam się zajrzeć.

- Grunt to odwaga.

Na półpiętrze zorientował się, że pogwizduje, więc zirytowany przestał. Wiedział, że powinien oderwać myśli od pięknej kobiety, lecz nie było to łatwe. Miał ogromną ochotę rozwiązać turkusową aksamitkę i wsunąć palce w piękne, puszyste loki. Wyobraził sobie, że idą do ogrodu, siadają na mchu wśród kwitnących krzewów róż... obejmują się i całują.

Skrzywił się niezadowolony, gdyż podświadomie czuł, że ma do czynienia z kobietą, której nie można bezkarnie pieścić. Była piękna, godna pożądania, ale poważna, więc na pewno uznawała jedynie miłość, prowadzącą do małżeństwa. Miała tylko jeden minus: obchodziła Boże Narodzenie, którego on nie znoślił.

Instynktownie czuł, że nie wolno mu nawet niewinnie pocałować takiej wdzięcznej istoty, gdyż jeden pocałunek wystarczy, aby jej nie zapomnieć i tęsknić za nią dniem i nocą.

Gniewnie mrużąc, wszedł do łazienki.

ROZDZIAŁ TRZECI

Stephanie wierzchem dłoni otarła policzki mokre od łez i tłumiąc jęk, wyrywający się z gardła, poszła wyłączyć radio. Żałowała, że w ogóle włączyła. Wiadomo przecież, że w okresie Bożego Narodzenia na falach eteru płyną bardzo wzruszające melodie.

„Cicha noc, święta noc, pokój niesie ludziom wszem... „

Czyste dziecięce głosy poruszyły ją tak bardzo, że się rozpląkała. Lubiła Boże Narodzenie najbardziej ze wszystkich świąt i zawsze był to okres głębokich wzruszeń. Tego roku, z powodu nagle zerwanych zaręczyn, jeszcze łatwiej się roztkliwiała.

Nagle usłyszała od progu:

– Ale ładnie pachnie.

Łudząc się, że wszelkie ślady łez zniknęły, ułożyła usta w uśmiech i odwróciła się. W drzwiach stał mężczyzna zupełnie niepodobny do McAllistera. Zamrugła i przyjrzała mu się uważniej. Nie, to jednak pan domu we własnej osobie, tyle że zmieniony. Aby utrzymać nagle zachwianą równowagę, oparła się o szafkę.

McAllister był starannie ogolony i uczesany. Bez zarostu miał

prawie idealną twarz: nieco wystające kości policzkowe, silnie zarysowaną szczękę, – wąskie usta, prosty nos, niebieskie oczy. Dopiero teraz zauważyła, że jest niezwykle przystojny.

Poprzednio sprawiał wrażenie niebezpiecznego przestępcy, a teraz wyglądał niebezpiecznie pociągająco. Był wcieleniem odwiecznego ideału mężczyzny, w którym można zakochać się od pierwszego wejrzenia.

Oczarowana Stephanie prawie przestała oddychać i wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

– A, to pan... – wykrztusiła wreszcie. – W lodówce znalazłam parówki, jajka i mleko. Chleb tostowy jest trochę przeterminowany, ale chyba się nie otrujemy. – Wyjęła z opiekacza grzanekę i włożyła następną. – Jak podać jajka?

– Wszystko jedno, mogą być sadzone. Ja zajmę się kawą, dobrze?

Gdy przeszedł koło niej, poczuła zapach wody po goleniu. Niepokojąco męski zapach...

Prędko odwróciła się i wbiła na patelnię jajka. Niebawem postawiła na stole dwa talerze: dla gospodarza z trzema jajkami i pięcioma parówkami, dla siebie z jednym jajkiem i dwiema parówkami. McAllister kurtuazyjnie odsunął dla niej krzesło.

– Dziękuję – bąknęła speszona, usiadła i podała mu dzbanuszek ze śmietanką. – Pije pan białą kawę bez cukru, prawda?

– Skąd pani wie? Czyta pani w myślach?

Spojrzała zdziwiona. Siedział naprzeciw okna, więc światło, odbijające się od śniegu, sprawiło, że miał zdumiewająco błękitne oczy.

– Nie. – Zaśmiała się nerwowo. – Przecież rano pił pan kawę. Zapomniał pan?

– Coś sobie przypominam... – Wypił kilka łyków. – Hmm, dobra i mocna.

Przez pewien czas jedli w milczeniu. Stephanie pomyślała, że postronny obserwator mógłby sądzić, iż są szczęśliwym małżeństwem. Tymczasem nie byli parą, a poza tym ona wcale nie czuła się szczęśliwa. W dodatku dziwnie zaniepokoił ją fakt, że pan domu okazał się atrakcyjnym mężczyzną.

– Proszę opowiedzieć mi coś o sobie – odezwał się, patrząc na nią znad filizanki. – Jeśli pracuje pani, to w jakim zawodzie?

Zamiast odpowiedzieć, rzuciła mu zalotne spojrzenie i zaproponowała:

– Proszę zgadnąć.

– Dobrze, ale pod warunkiem, że mnie pani naprowadzi na trop, da jakąś wskazówkę.

– Jedną już pan zna.

– Jaką? – Podrapał się po głowie. – Śniadanie mi smakuje, więc może jest pani kucharką?

– Nie.

Wpatrywał się w nią, jakby usiłował wyczytać coś z jej twarzy.

– Rozbija pani samochody celowo, dla zarobku?

– Też pomysł!

Wybuchnęła śmiechem i odchylając się na krześle, sięgnęła po misia, leżącego na szafce.

– Projektuję zabawki. – Rzuciła misia. – A firma w Montpelier wykonuje różne zwierzęta na moje zamówienie.

McAllister trzymał misia niepewnie, jak człowiek, który nie ma kontaktu z dziećmi, więc nie bardzo wie, co robić z zabawkami. Przyjrzał się misiowi kosym okiem, po czym rzucił na szafkę i obojętnie zapytał:

– I co dalej? Sprzedaje je pani?

– Tak. Mam własny sklep. Ściśle mówiąc, lokal nie jest mój, bo tylko wynajmuję.

– Gdzie? W Montpelier?

– Nie, w Bostonie. – Zauważyła, że drgnął. – Zaczęłam trzy lata temu i przez dwa borykałam się z dużymi trudnościami, ale teraz wypływam na szersze wody. – Lekko się uśmiechnęła. – Jeśli będzie pan w Bostonie, proszę do mnie wpaść. Sklep nazywa się „Zabawki. Plusz i już”.

Wiedziała, że nazwa jest niepoważna, ale właśnie dlatego ją wybrała. Większość ludzi reagowała śmiechem lub dowcipnym

komentarzem. Natomiast McAllister ani się nie uśmiechnął, ani nie zrobił żadnej uwagi. Przez parę sekund patrzył szklanymi oczami, a potem skrzywił się, jakby usłyszał coś nieprzyzwoitego.

– O co panu chodzi? – zapytała speszona.

– O nic – mruknął nieprzyjemnym tonem, gwałtownie odsuwając krzesło i wstając. – Jeśli skończyła pani jeść, proszę z kawą przejść do pokoju, a ja sprzątnę ze stołu.

Jego zachowanie było zaskakujące i niezrozumiałe, ponieważ nie powiedziała ani nie zrobiła nic złego. Chyba że niewinne zaproszenie do sklepu zostało potraktowane jako nachalne łapanie klienta...

Oblała się szkarłatnym rumieńcem i czym prędzej wstała. Wstawiła talerz do zlewozmywaka, dolała sobie kawy i wyszła. McAllister stał z założonymi w tył rękami, jakby ostentacyjnie czekał, aż ona opuści kuchnię.

Zanim doszła do pokoju, z kuchni dobiegł odgłos rzucanego sztucca. Zastanawiała się, dlaczego gospodarz się złości i wyładowuje gniew na naczyniach, zamiast otwarcie powiedzieć, o co mu chodzi.

Podeszła do biblioteczki i rzuciła okiem na książki. Po krótkim namyśle wybrała kryminał Jamesa Westa pod tytułem „Untimely Graves”, który od dawna zamierzała przeczytać. Usiadła na kanapie w ulubionej pozycji, z podwiniętymi nogami, i zamyśliła

się. Przyszło jej do głowy podejrzenie, że pan domu nie życzy sobie jej towarzystwa, więc postanowiła zachowywać się tak, aby wiedział, że nie musi zabawiać jej rozmową. Otworzyła książkę i na stronie tytułowej zobaczyła dedykację, napisaną kobiecą ręką:

„Najdroższemu Damianowi kochająca Ashley”.

– Panno Redford...

Drgnęła nerwowo i rozejrzała się nieprzytomnym wzrokiem. Głos McAllistera rozległ się w chwili, gdy czytała o tym, że morderca zbliża się do drugiej, nic nie podejrzewającej ofiary.

Odwróciła głowę i ujrzała gospodarza, stojącego dwa kroki od kanapy. W ręce trzymał siekiere. Przerazona poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Przycisnęła książkę do piersi, jak gdyby tym gestem chciała zatrzymać żołądek i uciszyć rozszalałe serce.

– Co... ?

– Wychodzę, żeby narąbać drzewa. Książka wysunęła się jej z rąk.

– Nie powinien pan wychodzić. Grypa...

– Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

Ostrze siekiery błysnęło w słońcu, a Stephanie głośno przełknęła i powiedziała drżącym głosem:

– Jak pan uważa.

Rozdygotana przeklinała wyobraźnię za to, że spletała jej

przykrego figla.

Gdy usłyszała odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, odetchnęła pełną piersią i nerwowo zachichotała. Wiedziała, że zachowuje się nierozsądnie w sytuacji, w której jest bezpieczna i nic jej nie grozi. Winę za nieopanowaną reakcję ponosiła scena z książki. Obraz mordercy, skradającego się za plecami ofiary, nałożył się na McAllistera z siekierą.

Odłożyła książkę i przeciągnęła się. Sama też chętnie odetchnęłaby świeżym powietrzem, lecz skoro pan domu nie zaproponował, aby z nim wyszła, widocznie pragnął być sam.

Gdy przez okno zobaczyła błękitne niebo i świat okryty śniegową pierzyną, aż krzyknęła z zachwytu i radości. Przestało padać, a promienie słońca mieniły się wszystkimi barwami tęczy w soplach lodu, zwisających z dachu. W dali widniała rozległa dolina, las, rzeka i jezioro. Zaczarowany zimowy świat; Vermont w pięknej białej szacie.

Uśmiechnęła się zadowolona i pobiegła do telefonu.

– Dzień dobry, mówi Stephanie Redford. Już raz dzwoniłam do pana. Jestem w domu pana McAllistera, niedaleko Tarlity, i tutaj śnieg przestał padać, więc...

– Proszę wybaczyć, że przerwę, ale tamtejsze drogi będą odśnieżane po południu, więc może przed wieczorem uda mi się kogoś do pani przysłać.

Zadała kilka pytań i odłożyła słuchawkę. Nie mogła się doczekać spotkania z rodziną, więc chciała jak najprędzej wyjechać. A jednocześnie martwiła się o gospodarza. Chwilami był opryskliwy, więc podejrzewała, że jest człowiekiem, który nie lubi, aby się o niego troszczono. Mimo to wiedziała, że będzie myślała o jego samotnych świętach i zastanawiała się, jak spędza czas bez rodziny i przyjaciół.

Intrygowało ją, kim była kobieta, od której otrzymał książkę i której imię wymówił w malignie. Ciekawa była, dlaczego nie są razem i czy autorka czulej dedykacji odeszła na zawsze. On na pewno jej nie zapomniał, gdyż wzywał ją w gorączce.

Żałowała, że nigdy nie pozna rozwiązania intrygującej zagadki.

McAllister wrócił tuż przed zachodem słońca, gdy świat zaczął tonąć w mroku. Bardzo głośno zamknął drzwi i hałaśliwie tupał w przedpokoju. Stephanie domyśliła się, że robi to celowo, aby jej nie wystraszyć.

Był mocno zaczerwieniony od mrozu. Nie patrząc na gościa, zaniósł narecze drewna przed kominek. Przyklęknął, wrzucił do kominka gazetę, ułożył na niej drobne szczapy i podpalił. Gdy ogień dobrze się rozpalił, dołożył kilka grubych polan, podniósł się, zdjął skafander i wytarł ręce o spodnie. Pociągając nosem, zwrócił się do Stephanie:

– O, czuję, że pani też nie próżnowała. Co tak ładnie pachnie?

– Zwykła zapiekanka, makaron z mięsem. – Lekko wzruszyła ramionami. – Przepraszam, że się wtrącam w nie swoje sprawy, ale czas najwyższy zaopatrzyć spiżarnię. Może już się pan wylizał z grypy i nie umrze na zapalenie płuc, ale grozi panu śmierć głodowa.

– Przesada. Napije się pani?

– A co mogłabym dostać?

– Cokolwiek łaskawa pani sobie życzy. Mam whisky, wino, wódkę...

Bardzo lubiła wino i rzadko potrafiła oprzeć się pokusie. Poza tym była Wigilia, a jak dotąd nastrój w domu McAllistera nie był wcale świąteczny. Nigdzie nie zauważyła ani jednej gałązki ostrokrzewu, nie mówiąc o choince.

– Chętnie wypiłabym kieliszek białego wina.

– Służę.

Przyniósł wino dla niej oraz whisky z lodem dla siebie.

– Na zdrowie.

– Na zdrowie – powtórzyła i niewiele myśląc, dodała: –
Wesołych Świąt.

Pan domu nie zdobył się na to, by też złożyć życzenia. Mruknął coś mało zrozumiałego i podszedł do okna. Stephanie, która widziała jego ponurą twarz w szybie, pomyślała, że jest

wyjatkowo posepnym człowiekiem.

– Na pewno ucieszy pana wiadomość, że już niedługo odjadę stąd. Gdy przestało padać, zadzwoniłam do pana Granthama. Obiecał mi, że wieczorem ktoś przyjedzie, żeby wyciągnąć z zasy myj nieszczęsny samochód.

McAllister gwałtownie się odwrócił.

– A co pani robi, jeśli okaże się, że samochód nie nadaje się do dalszej jazdy? Całkiem możliwe, że jest uszkodzony i...

– Stąd na pewno wyjadę. Obiecano mi, że jeśli mój wóz nie ruszy, odholują mnie do Tarlity, a dalej mogę jechać autobusem. Jakoś sobie poradzę.

– Czy jeszcze gdzieś pani dzwoniła?

– Niech się pan nie boi o rachunek, bo nigdzie nie dzwoniłam – zawołała urażona. – Za telefony do Tarlity zaraz zapłacę. Doprawdy pan mnie...

– Ależ pani Redford – przerwał jej ostro – proszę mnie źle nie rozumieć. O pieniądze niech panią głowa nie boli. Chodziło mi o to, że skoro utknęła pani w drodze, może ktoś... nie tylko rodzice... niepokoi się, bo wie, że nie dojechała pani na miejsce.

– O, bardzo pana przepraszam.

– No więc? Jest ktoś taki?

– Nie rozumiem.

– Ktoś pani bliski?

Domyśliła się, że ma na myśli mężczyznę, lecz dziwiło ją, że mówi tak, jakby to go irytowało. Nie lubiła się zwierzać. Zresztą nie wypadało mówić obcemu człowiekowi o narzeczonym, który nie chciał jechać do jej rodziców, ponieważ wolał bogatych klientów, którzy mają piękną córkę i zapewne próbują go z nią wyswatać.

– Nikogo nie ma, przynajmniej w tej chwili – odparła na pozór swobodnie i popatrzyła na niego z ukosa. – Teraz pańska kolej. Proszę mi powiedzieć, czym pan się zajmuje i gdzie pracuje.

– Rysuję. I maluję. – Spojrzał na duży olejny obraz, którego temat i nastrój wywołały u niej gęsią skórę. – Głównie dlatego pobudowałem ten dom. Tutejsze widoki są... ale przed panią nie muszę rozplęwać się nad pięknem Vermontu.

Odstawiła kieliszek, obeszła kanapę i stanęła przed ponurym obrazem.

– To pana dzieło?

– Tak.

– Ma pan niezwykły talent – powiedziała po dość długiej chwili.

McAllister patrzył na nią z takim wyrazem twarzy, jakby jeszcze na coś czekał, a ponieważ milczała, rzekł zniecierpliwiony:

– To mało krytyczna uwaga. Spojrzała na obraz uważniej.

– W pierwszej chwili widok zapiera dech... Dobór kolorów jest niebywały, a jezioro... namalowane doskonale...

– Ale?

Zrozumiała, że wahanie w jej głosie nie uszło jego uwagi i dlatego zdecydowała się powiedzieć prawdę.

– Jeśli mam być zupełnie szczerą, nie chciałabym go mieć w domu, bo jakoś mnie... rozstraja.

– Rozstraja?

– Tak. I wywołuje niepokój. Mroczna dolina, prawie czarne chmury, zraniona sarna i krążący nad nią sęp...

– To nie żaden sęp, lecz orzeł.

– Przecież widzę, że orzeł – obruszyła się. – Ale orzeł jest pozytywnym symbolem, a ta scena wygląda jakoś... złowrogo. Przepraszam. – Skrzywiła się, bezradnie machnęła ręką i z powrotem usiadła na kanapie. – Zapewne nie to chciał pan usłyszeć, ale nie umiem kłamać. Widzi pan, ja gustuję w obrazach, których oglądanie sprawia przyjemność. Na świecie jest tyle brzydoty, więc nie rozumiem, po co ją malować i celowo wprowadzać do domu... – Urwała, jakby się zastanawiała, czy wypada dokończyć myśl. – Oglądając takie dzieło na wystawie, podejrzewałabym, że artysta był bardzo nieszczęśliwy, gdy je malował.

– Do licha! Nie umie pani spojrzeć na obraz bez wnikania w nie

wiadomo jakie głębie? – Był wyraźnie zły i odstawił kieliszek tak raptownie, że omal go nie stłukł. – Wszyscy bawią się w psychologów! Czy ja, patrząc na pani misia, mówiłem, że pani jest utalentowana, a plusz ma ciepły odcień brązu, ale... że nie chciałbym go mieć w domu, bo przypominałby mi, że nie wszystkie rodziny są szczęśliwe i nie każde dziecko dostaje na Gwiazdkę misia?

Jego wybuch przeraził ją. Tym bardziej że krzyk zawsze bolał ją prawie jak uderzenie.

– Najmocniej przepraszam – szepnęła.

Coś ją ścisnęło za gardło i oczy piekły, więc pospiesznie wstała. Miała nadzieję, że zdąży dojść do łazienki, zanim wybuchnie płaczem. McAllister dogonił ją w przedpokoju i odwrócił ku sobie.

– O, mój Boże! – Zauważył łzy w jej oczach, więc skruszony przytulił ją do piersi. – Ale pani przewrażliwiona. Ja tylko...

– Przewrażliwiona? – Szarpnęła się i bezskutecznie usiłowała się wyrwać. Jej oczy ciskały błyskawice, a piersi gwałtownie falowały. – Szkoda, że pan nie jest choć trochę wrażliwy. Gdyby pan wiedział, co to słowo znaczy, nie byłby w pozycji...

– Pozycja, w jakiej w tej chwili się znajduję, bardzo mi odpowiada. – Mówił ciszej, łagodniej. Pieszczotliwym gestem otarł łzę z jej policzka i dodał: – Prawdę powiedziawszy, taka

pozycja bardzo mnie... bawi.

– Bawi?

Westchnęła zawiedziona, ponieważ dla niej bliskość jego ciała była niebezpiecznie podniecająca. Czuła, że mięśnie niby wosk. Jej złość rozwiała się bez śladu, a serce biło coraz mocniej, lecz ostatkiem woli zdołała się wyrwać.

– Za dużo pan sobie pozwala – zaczęła bez tchu. – I posuwa się za daleko.

– Hmm... – Uśmiechnął się bez zażenowania i szepnął: – Może...

– Nie żadne może, tylko na pewno – rzuciła ze złością. Odwróciła się i chciała odejść dumnym krokiem, ale czuła, że płaczą się jej nogi.

McAllister poszedł do kuchni, gniewnie mruczając pod nosem. Był zły, ponieważ obiecał sobie, że będzie się miał na baczności, a mimo to nie zapanował nad sobą. Jedyne plus, że nie doszło do pocałunku.

Stephanie była kobietą jego marzeń. Gdy ją obejmował, miał wrażenie, że jest prawie w niebie. Nie mógł dłużej się oszukiwać i musiał przyznać, że pożąda tej delikatnej, pięknej i bardzo kobiecej istoty. Wciąż czuł subtelny zapach, który wokół siebie roztaczała i ogarniało go coraz większe pożądanie.

Powoli zaczynało się szaleństwo. Podobne, a jednak zupełnie

inne niż z powodu neonu nad jej sklepem. Irytowało go to, że świat jest taki mały. Kto by przypuścił, że od dawna codziennie przebywali niedaleko siebie? Bardzo żałował, że stanowią zupełnie przeciwieństwa. Chociażby w wypadku Bożego Narodzenia, na które Stephanie czekała z utęsknieniem, a którego on nie znosił.

Ostrożnie otworzył piekarnik, wyjął zapiekankę i postawił na korkowej macie. Tarty ser, przypieczony na złocisty kolor, wyglądał bardzo apetycznie. Jeszcze niedawno, podczas rąbania drewna, McAllister czuł głód czysto fizyczny, a teraz dręczył go inny i pragnął nie tylko jeść.

– Uważaj, bracie! – mruknął pod nosem. – Pilnuj się!

Usłyszał, że Stephanie weszła do kuchni, więc nie odwracając się, powiedział:

– Zapiekanka tak wygląda, że ślinka leci.

– Dziękuję za uznanie. To moja ostatnia deska ratunku, gdy lodówka jest pusta.

– Dolać pani wina?

– Nie, dziękuję.

Gdy podeszła do stołu, znowu poczuł drażniący, upojny zapach jej perfum.

– Zawsze mało piję – dodała gwoli wyjaśnienia. – Szczególnie przed podróżą.

– Słusznie. – Wyjął dużą łyżkę. – Proszę, niech pani siada, ja

będę obsługiwał.

Oboje wyczuwali przykre napięcie, lecz nie umieli go usunąć.

– Sól i pieprz jest tutaj.

– Ja dziękuję, ale pan może będzie musiał skorzystać, bo jestem ostrożna z przyprawami.

– Na pewno zrobiła pani wszystko jak należy.

Po pierwszym kęsie przekonał się, że zapiekanka jest wyśmienita i od razu wrócił mu wilczy apetyt. Stephanie wzięła do ręki widelec, ale ociągała się z jedzeniem. Przez kilka sekund siedziała nieruchomo, bez zmrużenia oka wpatrując się w pana domu, po czym ni stąd, ni zowąd zapytała półgłosem:

– Kto to jest Ashley?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie miała zwyczaju pytać o sprawy osobiste nikogo, a tym bardziej obcych, więc zdziwiła się, że podobne pytanie wyszło z jej ust. Zawstydzona i zdenerwowana czekała na wybuch, ponieważ McAllister zrobił się purpurowy z gniewu.

– Jasna cholera! – warknął tonem, nie wróżącym nic dobrego. – Od kogo pani o niej słyszała?

Bezpieczniej było nie mówić, że od niego, gdy majacząc, wyszeptał to imię.

– W książce, którą czytałam – powiedziała wymijająco – znajduje się dedykacja od...

McAllister miał ponury, zacięty wyraz twarzy, a widelec trzymał tak mocno, że zbieleły mu palce. Nie ulegało wątpliwości, że z trudem nad sobą panuje, lecz jednak wyjaśnił:

– Ashley była moją żoną. Umarła pięć lat temu.

– Bardzo mi przy...

– Co takiego! – krzyknął. – Jak może pani być przykro z powodu śmierci osoby, której nie znała? Pobraliśmy się krótko przed jej śmiercią. Koniec historii.

Przez kilka sekund patrzył na nią wrogo, a potem gniewnie sapnął i zabrał się do jedzenia.

Stephanie czuła się rozdygotana. Żałowała, że wybrała akurat tamtą książkę i że zapytała o autorkę dedykacji. Zupełnie straciła apetyt, chociaż makaron z serem był jej ulubionym daniem. Odsuwając talerz, potrąciła młynek do pieprzu, który spadł na podłogę. Trzęsącą się ręką podniosła go i postawiła na stole. Zerknęła na pana domu, który patrzył na nią spode łba.

– Przepraszam – szepnęła zaczerwieniona. – Jeśli pan pozwoli, pójdę się spakować. Wprawdzie należy liczyć się ze spóźnieniem, ale mimo to powinnam być gotowa.

Gdy wstała, też się podniósł, co świadczyło, że otrzymał staranne wychowanie. Pomyślała z ironią, że w innych wypadkach o nim zapomina i dlatego bywa gburowaty. Pan Grantham określił go mianem nieszkodliwego odludka. Według niej był nim z konieczności, ponieważ nie mógł znaleźć kobiety, gotowej znosić jego humory.

Zanim skończyła się pakować, ogarnęło ją współczucie dla posepnego samotnika. Użaliła się nad nim, dlatego że stracił żonę, którą na pewno bardzo kochał, o czym świadczyło to, że wymówił jej imię z czułością. Możliwe, że gdy żyła, był innym człowiekiem, a dopiero po jej śmierci zrobił się ponury i nieprzystępny.

Westchnęła i pokręciła głową. Jak zwykle martwiła się o bliźnich, chociaż w tym wypadku było to zupełną stratą czasu. Nie

miała wątpliwości, że wkrótce się pożegnają i nigdy więcej się nie zobaczą.

Rozległ się donośny dzwonek przy drzwiach frontowych. Wyjrzała, aby zobaczyć, czy gospodarz idzie otworzyć, zresztą była ciekawa, czy to przyjechała pomoc dla niej.

– Już otwieram – zawołał McAllister.

Za progiem stał potężny, prawie dwumetrowy mężczyzna, który coś mówił, żywo gestykulując. Stephanie nie mogła rozróżnić słów, natomiast zobaczyła duży pojazd na drodze koło domu. Podbiegła do drzwi i spytała z nadzieją:

– Udało się wyciągnąć mój samochód?

– Ten pan nie jest od Boba Granthama – mruknął McAllister.

– Niestety, mam dla pani nie dobrą wiadomość – rzekł przybyły.

– Odsnieżam tutejsze drogi... Pani samochód był niewidoczny w zaspie, więc za późno się zorientowałem i... pług go doprawił. Bardzo mi przykro. Trochę w tym pani winy, bo należało zostawić jakieś światła.

Pod Stephanie ugięły się nogi. Otworzyła usta, aby coś powiedzieć, lecz McAllister wziął ją za rękę i, mimo protestów, zaprowadził do pokoju i posadził w fotelu.

– Proszę tu siedzieć i nie ruszać się z miejsca – zarządził. – Ja wszystko załatwię. Niechże pani siedzi! – warknął, gdy chciała wstać. – Powiedziałem, że ja się tym zajmę.

Posłusznie usiadła, a on wyszedł, głośno trzaskając drzwiami.

– „Doprawił” – szepnęła zbielełymi wargami. – Ten człowiek zniszczył mi samochód.

Ogarnęła ją czarna rozpacz, ponieważ w takiej sytuacji nie wiedziała, jak dojedzie do domu.

Na nogach jak z waty poszła do kuchni. Duszkiem wypła pełną szklanekę wody, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. Nie zanosilo się na to, że ulubione święta upłyną bezproblemowo.

Stała wciąż w tym samym miejscu, gdy usłyszała, że wraca pan domu. Głośno otworzył i zamknął drzwi, a potem niecierpliwie zawołał:

– Gdzie się pani podziała?

– Jestem tutaj – odparła, wychodząc z kuchni. McAllister miał potargane włosy, zaczerwienione policzki i oczy bez wyrazu.

– Niech pani bierze torbę. Jedziemy.

– Słucham? – Patrzyła na niego z niedowierzaniem. – Chce pan mnie odwieźć do domu? Dziękuję bardzo, ale to naprawdę nie jest konieczne.

– Pójdzie pani pieszo?

– Jasne, że nie, ale drogi są już odśnieżone, więc jeśli pan pozwoli, zadzwonię do rodziców i ktoś po mnie przyjedzie...

– Żarty się pani trzymają. Nie chcę, żeby mi tu zjeżdżał tłum Redfordów. No, niech pani zabiera manatki i ruszamy.

– Co za arogant z pana – syknęła. – Nigdy nie spotkałam tak niemilego mężczyzny.

– Z tego wnioskuję, że w swoim krótkim życiu spotkała pani niewielu. Idę uruchomić samochód.

– Powinnam zadzwonić do pana Granthama...

– Już z nim rozmawiałem, bo kierowca pługa miał telefon komórkowy. – Wychodząc, rzucił przez ramię: – Za trzy minuty ma pani być w samochodzie.

Zatrzęsła się z bezsilnej złości, ale musiała przyznać, że postąpił bardzo ładnie, gdy zaproponował, iż odwiezie ją do domu. Szkoda tylko, że powodował nim egoistyczny motyw.

Ubrała się i chciała wrzucić misia do torby, gdy nagle zmieniła zdanie. Wzięła poduszkę, kołdrę i misia i pobiegła na piętro. Kołdrę oraz poduszkę zostawiła na swoim miejscu, a misia zaniósła do sypialni pana domu i położyła na łóżku. Chętnie napisałaby kilka słów podziękowania, ale nie miała czasu, ponieważ rozległo się niecierpliwe trąbienie.

Zbiegając po schodach, zastanawiała się, kiedy gospodarz znajdzie misia i co z nim zrobi. Intrygowało ją, jaka będzie jego reakcja, więc żałowała, że się tego nie dowie.

McAllister bez słowa pomógł jej wsiąść, a gdy zapinała pas, spytał:

– Mogę ruszać?

– Tak.

W miarę zbliżania się do drogi, jej napięcie wzrastało. Drgnęła nerwowo, gdy w świetle reflektorów zobaczyła swój samochód; był w opłakanym stanie i nadawał się jedynie do kasacji. Zamknęła oczy i aby się opanować, wbiła paznokcie w dłonie. Skręcili w lewo i zaczęli wjeżdżać pod górę, gdy nagle krzyknęła:

– Och, prezenty! Musimy zawrócić!

– Nie musimy, bo zabrałem wszystkie torby. Jedna trochę pękła, ale jeśli są w niej tylko zabawki, nic się nie stało.

– Bardzo, bardzo dziękuję, że pan o tym pomyślał.

– Wziąłem też dokumenty.

Ruchem głowy wskazał plastikową torbę, leżącą między nimi.

– Jestem ogromnie zobowiązana za wszystko, co pan dla mnie zrobił.

Mruknął coś pod nosem, nieznacznie się odwrócił, jakby chciał dać do zrozumienia, że rozmowa skończona. Mimo to na szczycie wzgórza Stephanie nieśmiało zapytała:

– Zna pan drogę do Rockfield?

– Tak.

Po dość długim milczeniu znowu się odezwała:

– Bardzo mi przykro, że sprawiłam panu tyle kłopotu. Tym bardziej że, jak sądzę, nie jest pan zbyt towarzyski...

– Na jakiej podstawie tak pani myśli?

– Zbudował pan dom daleko od drogi i... mieszka sam.

– Nie zawsze jestem sam, ale podczas Bożego Narodzenia nie pragnę towarzystwa.

– Dla mnie to niepojęte – zauważyła łagodnie. – Przecież to wyjątkowe święta i...

– Czy pozwoli pani, że wysłucham wiadomości? – przerwał bezceremonialnie.

Speszona zrozumiała, że pasażer powinien milczeć. Po wysłuchaniu wiadomości McAllister wyłączył radio, ale już nie dokończyła zaczętej myśli. Zacięła się i postanowiła, że do końca podróży nie powie ani słowa.

Jechali w milczeniu, które McAllister przerwał, dopiero gdy dotarli do przedmieść Rockfield.

– Teraz musi pani pilotować.

W jego głosie brzmiało zmęczenie, więc ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Wiedziała, że po grypie nie wolno od razu opuszczać domu, a tymczasem McAllister ze względu na nią wyjechał tak daleko. Powinna być uprzejma, okazać mu wdzięczność. Ale jak?

– Rodzice mieszkają na drugim końcu miasta. Widzi pan tę szkołę na rogu? Proszę za nią skręcić w lewo, kawałek jechać prosto i za supersamem skręcić w prawo.

Zajechali przed drewniany, odświętnie przystrojony dom. Na szczycie dachu stały podświetlone sanie z reniferami, nad

drzwiami wisiał zielony wieniec, a przez odsłonięte okno widać było wysoką, bogato przystrojoną choinkę.

Stephanie radośnie zabiło serce, gdy zobaczyła zgromadzoną w pokoju rodzinę, a przed domem czterech chłopców, którzy lepili bałwana.

– To moi bratankowie, oczywiście nie wszyscy. – Wychyliła się i zawołała: – Garry, pomożesz mi?

Chłopcy przerwali zabawę i przybiegli na wyścigi. Stephanie wyskoczyła z samochodu i wszystkich serdecznie ucałowała. McAllister wyrzucił na śnieg torby. Chłopcy zanieśli je do domu, a wtedy Stephanie odwróciła się i spojrzała na niego. Wpatrywał się w dom z napięciem i miał taką nieszczęśliwą minę, że zabolowało ją serce. Ciekawa była, co widzi i jakie wspomnienia wywołały żalospny wyraz twarzy. Czyżby sprawił to widok rodziny, zebranej wokół choinki?

– Serdecznie zapraszam pana do nas – rzekła półgłosem.

– Muszę wracać.

– Bardzo proszę. – Położyła mu dłoń na ramieniu i zajrzała w oczy. – Moi rodzice na pewno zechcą poznać człowieka, który mnie poratował w opresji.

Dostrzegła, że się zawahał i w tej samej chwili usłyszała wołanie:

– Steph! – W drzwiach stał najstarszy brat. – Chodź, mamy dla

ciebie niespodziankę!

Niepewnie spojrzała na swego towarzysza.

– Niech pani idzie. Zamknę samochód i za chwilę też przyjdę.

– Obiecuje pan?

– Tak.

Oczy jej rozbłysły jak gwiazdy, uśmiechnęła się promiennie i szepnęła:

– Jak dobrze być w domu. Boże Narodzenie to najpiękniejsze dni w roku. Uwielbiam te święta, och, jak bardzo. Czekamy na pana.

Roześmiana pobiegła do domu.

– Halo! – krzyknął za nią. – Zapomniała pani o podręcznej torbie.

Nie odpowiedziała, natomiast z boku rozległ się młody, nieśmiały głos.

– Ja mogę zanieść.

Zobaczył wyrostka, który miał pryszczatą cerę i tłuste włosy, związane w koński ogon, lecz sprawiał miłe wrażenie.

– Jesteś najstarszym bratankiem pani Stephanie? – zapytał przyjaznym tonem. – Na imię ci Jason?

– Tak. – Chłopiec przewiesił torbę przez ramię. – A pan, kim jest?

– Ja... Odwiozłem twoją ciocię, bo samochód jej wysiadł i sama

nie mogła przyjechać.

– Aha. – Chłopiec obrzucił mężczyznę przelotnym spojrzeniem, natomiast jego samochód obejrzał dokładnie, mrużąc: – Niezły. Pierwsza klasa. – Zerknął na czarnego jaguara, zaparkowanego po drugiej stronie ulicy. – Gdybym miał takie dwa do wyboru, wybrałbym pański wóz, bo lepszy do jazdy w każdych warunkach. – Pogardliwie wzruszył ramionami. – Bardzo cenię ciocię, ponieważ we wszystkim można na niej polegać, ale ten jej... adorator nie jest w moim guście.

McAllister na chwilę wstrzymał oddech, a potem cicho powtórzył:

– Adorator?

– Właściwie narzeczony, bo we wrześniu mają się pobrać. – Gniewnie kopnął śnieg. – Nie lubię go. Zadaje podchwytliwe pytania, a potem się ze mnie naśmiewa.

– Rozumiem.

Przez okno widać było Stephanie w otoczeniu rodziny i obok mężczyzny, obejmującego ją w talii. Mężczyzna był wysokim, dobrze zbudowanym blondynem.

– No, czas na mnie – powiedział McAllister głucho.

– Jak to? Przecież obiecał pan, że wejdzie.

– Przepraszam, jednak nie mogę.

Za bardzo wzruszył się, gdy zobaczył rodzinę, zgromadzoną

przy choince, więc obiecał Stephanie, że przywita się z jej rodzicami. Poza tym w jej oczach widział troskę... nawet coś więcej niż troskę. Czyżby to było przywidzenie, że porozumiewali się bez słów? Przez ułamek sekundy zdawało mu się, że widzi pąk, który mógłby rozwinąć się w przepiękny kwiat, jeśli oboje o niego zadbają. Widocznie jednak pomylił się. Na mgnienie oka uległ złudzeniu, że i w jego życiu może zdarzyć się cud, ale niestety prędko okazało się, że nadal nie jest wybrańcem losu.

Zorientował się, że chłopiec wciąż czeka na jego decyzję, więc powiedział chrapliwie:

– Rozmyśliłem się.

– Co mam przekazać?

– Nic. – Wskoczył do samochodu. – Nie ma o czym mówić. – Zauważył torbę plastikową, więc rzucił ją przez okno, wołając: – Jeszcze to zostało. Proszę oddać.

Chłopiec schwycił torbę i krzyknął:

– Wesołych Świąt.

– Wesołych – powtórzył, wzruszając ramionami. – Ja i wesołe święta...

Zrobiło mu się bardzo smutno na duszy.

Stephanie wsiadła do jaguara i bezmyślnie wpatrzyła się w pierścionek na palcu.

– Kochanie, jesteś szczęśliwa? – zapytał Tony. Spojrzała na

niego bez słowa. Spędzili godzinę z rodziną, gdy Tony zaproponował krótką przejażdżkę.

– Państwo chyba mnie rozumieją. Nie widziałem narzeczonej od piątku.

Z czarującym uśmiechem zwracał się głównie do pani Redford, która, ulegając urokowi młodego człowieka, zgodziła się, ale z zastrzeżeniem:

– Byle wasza nieobecność nie trwała za długo. My nie widzieliśmy Stephanie od września.

Wszyscy, oprócz Jasona, roześmiali się. Ulubieniec Stephanie siedział w kącie i patrzył na nią chmurnym wzrokiem. Gdy wszedł do pokoju, rzucił jej torbę na podłogę i ruchem głowy wskazał okno. Zdażyła zobaczyć samochód znikający w ciemności nocy. Przykro jej się zrobiło, że McAllister nie chciał poznać jej rodziny. Miała niejasne uczucie żalu, czegoś niedokończonego, ale nie domyślała się, o co Jason ma do niej pretensję.

Tony wyrwał ją z zadumy, kładąc rękę na jej kolanie i pytając:

– Słuchasz mnie, Steph?

– Tak. – Otrząsnęła się. – Dlaczego się zjawiałeś? Przecież miałeś jechać do Aspen.

– Wiem, ale kiedy zamknąłem walizkę, poczułem, że nie zniosę świąt bez ciebie. – Objął ją. – Kochanie, wybacz mi moją głupotę.

Zaczął ją całować, lecz nie odwzajemniła pocałunków.

Przeszkadzało jej wspomnienie innego mężczyzny. Pamiętała, co czuła, gdy trzymał ją w ramionach i zapewniał, że ta pozycja bardzo mu odpowiada. Pamiętała wzruszenie, jakie ją ogarnęło, gdy otarł jej łzy.

Tony odsunął się i zaśmiał nieco pogardliwie.

– No, możemy jechać. Zrobimy krótką rundę po mieście. Będzie bardzo krótka, bo Rockfield daleko do miasta metropolii.

– Z przeraźliwym piskiem opon skręcił w lewo i ciągnął: – Dobrze, że udało mi się niepostrzeżenie wsunąć ci na palec pierścionelek. Chyba nikt nie zauważył, że go nie miałaś... Steph?

– Zerknął na nią z ukosa. – Czy wiedziałaś, że twoja matka chce w sylwestra wydać przyjęcie zaręczynowe?

Stephanie ogarniał coraz większy niepokój, ponieważ czuła się tak, jakby traciła kontrolę nad wydarzeniami dotyczącymi własnego życia i jakby potężna fala unosiła ją na niebezpiecznie głębokie wody.

– Nie, dla mnie to też niespodzianka.

– Wspaniała! – W głosie Tony'ego brzmiało zadowolenie. – Twoi rodzice od razu mnie zaakceptowali. Czy wiesz, że twoja matka przestała niepokoić się o ciebie, dopiero gdy dowiedziała się o naszych planach?

Spojrzała na niego niemile zaskoczona.

– Nie miałam pojęcia, że się martwi, bo zawsze sprawiała

wrażenie spokojnej o mój los.

– Pozory. Zapewniłem ją, że pod moją opieką będziesz bezpieczna i że otoczę cię luksusem. A propos, gdzie twój samochód? Nie zauważyłem go przed domem.

– Wpadłam w poślizg, zaryłam w zaspę i trzeba go było odholować. Przyjechałam okazją.

– Czyli, gdyby nie wypadek, przyjechałabyś przede mną? Ja zjawiłem się około piątej.

Otworzyła usta, aby sprostować błędne przypuszczenie, ale się rozmyśliła. Doszła do wniosku, że nie warto nic mówić i najlepiej będzie, jeśli nikt się nie dowie, że wyjechała dzień wcześniej i spędziła noc w domu obcego człowieka. Była pewna, że tajemnica zostanie zachowana, ponieważ obracają się w zupełnie różnych kręgach, a McAllister sam nikomu nic nie powie.

– Tak, spóźniłam się w związku z wypadkiem – powiedziała cicho.

– Bardzo żałuję, że w piątek postawiłem sprawę na ostrzu noża. Popeliłem fatalny błąd, który postanowiłem naprawić, bo to ty jesteś dla mnie najważniejsza na świecie.

Jeszcze niedawno nie posiadałaby się ze szczęście i wyznałaby to samo. Zdawała sobie sprawę, że Tony stara się ją przeprosić, lecz jego skrucha przyszła odrobinę za późno. Niestety, podczas przyjęcia ujawnił cechy charakteru, które nieodwołalnie wpłynęły

na zmianę jej uczuć.

Wiedziała, że musi wszystko dokładnie przemyśleć, lecz na to będzie miała czas po świętach. Teraz, ze względu na matkę, będzie robiła dobrą minę do złej gry. Dopiero w Bostonie przeanalizuje wszystkie za i przeciw i podejmie decyzję w sprawie ślubu lub zerwania zaręczyn.

McAllister zajechał do domu zupełnie wyczerpany. Po wyjściu z samochodu zatoczył się, jakby był pijany. Miał do siebie pretensję o to, że zachował się bezmyślnie, a nawet ryzykownie. Ledwo trzymał się na nogach, więc nie powinien był rąbać drzewa na świeżym powietrzu. Nie musiał wychodzić; mógł schronić się przed Stephanie w sypialni.

Przypomniawszy sobie, jak to się zaczęło. Po kąpieli usłyszał kolędy nadawane przez radio i gdy zobaczył, że Stephanie płakała, serce ścisnęło mu się ze współczucia. Zapragnął wziąć ją w ramiona i pocałować, lecz zdołał się opanować. Teraz oczami wyobraźni widział ją w kuchni, gdy przygotowywała śniadanie i zachowywała się, jakby była u siebie. Tego widoku na pewno nie zapomni i jej duch stale będzie wokół niego krążył. Podejrzewał, że bez niej dom będzie przeraźliwie pusty.

Kopnięciem zamknął drzwi i wszedł do pokoju. Spojrzał na kanapę, na której siedziała skulona i pochłonięta książką.

Wyglądała wtedy, jakby była we własnym domu i siedziała na swym zwykłym miejscu.

Niestety, wiedział, że nie będzie panią jego domu, ponieważ należała do innego. Ogarnęła go zazdrość, że cud zdobycia miłości uroczej kobiety jak zwykle zdarzył się komuś innemu. Ociężałym krokiem poszedł do sypialni. Nie zapalając światła, rozebrał się i rzucił na łóżko. Nozdrza mu drgnęły, gdy poczuł znajomy, drażniący zapach. Wystraszył się! Czuł obecność Stephanie nawet we własnym łóżku, a to oznaczało, że wyobraźnia znowu płata mu figła. Wsunął się pod kołdrę i wtedy poczuł coś dziwnego pod głową. Pomacał: plusz. Nie musiał zapalać światła, by zgadnąć, co trzyma w ręku. Zrozumiał, że Stephanie przed odjazdem włożyła misia do łóżka. Jako prezent dla niego na Boże Narodzenie.

Klnąc jak szewc, rzucił go z całej siły i trafił w wazon, stojący na komodzie. Nakrył głowę poduszką, aby zdusić osaczające go gorzkie wspomnienia.

Przypomniały mu się święta w dzieciństwie. Co roku przyświecał mu blady promyk nadziei, że chociaż raz w życiu, gdy obudzi się w pierwszy dzień świąt, znajdzie przy łóżku prezent, przeznaczony wyłącznie dla niego.

ROZDZIAŁ PIĄTY

– W styczniu zawsze mieszkanie wydaje mi się nieprzytulne. – Janey skrzywiła się i rzuciła okiem na gołą ścianę. – Tak pusto bez świątecznych dekoracji.

– Masz rację.

Stephanie patrzyła przez okno na ulicę. Od samego rana padał gęsty śnieg, więc wszystko pokrywała gruba warstwa białego puchu. Przed skrzyżowaniem, na czerwonych światłach, stało kilka samochodów.

– Czas się ubierać – rzekła bez entuzjazmu. – Coś mi się zdaje, że to jaguar Tony’ego.

Janey stanęła obok i słysząc, że przyjaciółka wzdycha, zapytała:

– Steph, co się z tobą dzieje? Od świąt jesteś jakaś inna, przygaszona.

– A ja łudziłam się, że nic po mnie nie znać. Widzisz, powinnam spokojnie i szczerze porozmawiać z Tonym, ale on pracuje od świtu do nocy. Nigdy nie jesteśmy sami.

– Dzisiaj idziecie na kolację, więc...

– Zaproszono nas na otwarcie restauracji „Trocadero Six”. Kolacja niestety będzie służbowa, bo Tony umówił się z kimś z

M. A. G. – U.

– Co to takiego?

– Podobno pierwszorzędny zespół architektów. Tony rzekomo zaangażował najlepszego z najlepszych, żeby zaprojektował jego dom.

– Jego? Chyba się przejęzyczyłaś, bo chodzi o wasz dom, prawda?

– Dla mnie to dom Tony’ego – wymijająco odparła Stephanie.

– Choćby dlatego, że kupił parcelę, gdy jeszcze się nie znaliśmy, a poza tym dokładnie wie, jaki dom chce mieć i ja właściwie nie mam pola do popisu.

– Hmm. Czy po kolacji resztę wieczoru spędzicie we dwoje?

– Mam nadzieję.

– To dobrze.

Stephanie wiedziała, że wcale nie będzie dobrze, ponieważ to, co zamierzała powiedzieć Tony’emu, zrani jego uczucia. Nie lubiła nikomu sprawiać przykrości i dlatego bała się zakończenia dnia.

W wypełnionym gośćmi foyer panował nieopisany hałas. Na ustawionych w podkowę stołach stały zakąski i wino. W powietrzu unosił się zapach egzotycznych przypraw, drogich perfum oraz świeżych róż.

Tony zaprowadził Stephanie do baru i zawołał, przekrzykując gwar:

– Napijesz się szampana?

Zanim odpowiedziała, ktoś ją mocno popchnął. Chciała natychmiast odsunąć się od Tony'ego, lecz ją przytrzymał. Odchyliwszy głowę, zobaczyła, że patrzy na nią oczami zamglonymi pożądaniem.

– Wiesz, kochanie, z tą fryzurą bardzo ci do twarzy. Jesteś piękna. Chcę, żebyśmy później pojechali do mnie i...

– Musimy poważnie porozmawiać...

Urwała, gdyż poczuła dziwne ukłucie, jakby ktoś stanął tuż za nią i wbił szpilkę w plecy. Pierwszy raz zdarzyło się jej coś podobnego.

– Dobry wieczór, Gould.

Poznała głos i z przerażenia zamarła. Niemożliwe, aby to mówił...

– O, McAllister, dobry wieczór.

Serce Stephanie przestało bić. Nie chciała uwierzyć, że za nią stoi człowiek, u którego niedawno nocowała. Wydawało się jej nieprawdopodobne, aby tamten ponury samotnik chodził na duże przyjęcia.

Odwróciła się. Jej zaskoczenie było niczym w porównaniu ze zdumieniem, jakie odmalowało się na twarzy McAllistera, który

cofnął się, jak uderzony obuchem. Błyskawicznym spojrzeniem obrzucił jej misterną fryzurę, elegancką czarną bluzkę i długą aksamitną spódnicę. Patrzyli na siebie oniemiaли.

Na szczęście Tony akurat zatrzymał przechodzącego kelnera i dzięki temu nic nie zauważył. Stephanie kurczowo schwyciła kieliszek, jakby to była ostatnia deska ratunku.

– Chodźmy stąd – zawołał Tony – bo tu nie można rozmawiać.

Obejmując narzeczoną, zaczął przeciskać się pośród tłumu. Stephanie czuła na plecach palący wzrok, ale starała się opanować. Miała nadzieję, że McAllister wkrótce ich pożegna. Lecz, na wypadek gdyby tego nie zrobił, postanowiła, że powie, iż czuje się źle i chce usiąść. Wtedy pójda na salę do zamówionego stolika, a McAllister zostanie w foyer.

Odetchnęła z ulgą, gdy zauważyła, że Tony idzie w stronę drzwi na salę, ale niestety przystanął koło fontanny i artystycznie skomponowanych roślin doniczkowych. Szum wody trochę wytłumił ludzkie głosy.

– Targowisko próżności – powiedział McAllister z nie ukrywaną ironią.

– Człowiek nawet siebie nie słyszy – rzekł Tony. – Państwo pozwolą, że dokonam prezentacji. Stephanie...

Czuła się, jak gdyby ktoś podrzucił ją wysoko do góry i obojętnie patrzył, jak spada. Tym razem nie miała wyboru i

musiała spojrzeć na McAllistera. Pamiętała, że jest przystojny, chociaż widziała go w nie najlepszej formie. W ciemnym garniturze i nieskazitelnie białej koszuli, mógł zawrócić w najbardziej odpornej głowie.

– Kochanie – usłyszała jakby z oddali. – To jest pan Damian McAllister. Panie McAllister, oto moja narzeczona, panna Stephanie Redford.

Przeraziła się, że McAllister powie, iż się znają, więc prędko wyciągnęła rękę i rzekła bez tchu:

– Miło mi pana poznać.

McAllister ledwo dostrzegalnie uniósł brwi.

– O piękna pani, cała przyjemność po mojej stronie. Zechce pani mówić mi po imieniu.

– Wobec tego proszę o to samo.

– Gould – zaczął McAllister, nie spuszczając z niej oczu – ale masz szczęście.

– Wiem. Stephanie to skarb nad skarby. Podejrzewała, że McAllister wybrałby kilka mniej lub bardziej pochlebnych epitetów, lecz na pewno nie nazwałby jej skarbem. Bardzo żałowała, że się spotkali. I niecierpliwie czekała na przyjście architekta z M. A. G. – U, ponieważ wtedy będą mogli pożegnać McAllistera i pójść do stolika.

– Chyba możemy już wchodzić na salę – rzekł Tony.

Stephanie uprzejmie się uśmiechnęła, lecz ku jej konsternacji McAllister nie pożegnał się i szedł za nimi. Nie rozumiejąc, o co chodzi, pomyślała, że widocznie zarezerwował stolik w pobliżu.

Podszedł kierownik sali z kartą dań w eleganckiej, skórzanej oprawie.

– Przepraszam, państwo mają zarezerwowany stolik pod oknem, prawda?

– Tak. Nazywam się Gould.

– Proszę tędy.

Stephanie coraz bardziej irytowało, że McAllister idzie za nimi krok w krok i na domiar złego siada przy ich stoliku. Spociła się ze zdenerwowania, ponieważ jego obecność tak ją absorbowwała, że nic poza nim nie widziała. Speszona tym, że nie spuszcza z niej oczu, nerwowym ruchem poprawiła włosy.

– Wyjątkowy szafir – rzekł cicho.

Spojrzała na niego zaskoczona. Gdy zorientowała się, że patrzy na pierścionek, chciała schować rękę pod stolik, lecz jej przeszkodził.

– Można obejrzeć?

Ciepło jego dłoni sprawiło, że krew żywiej popłynęła w jej żyłach. Rozdygotana zastanawiała się, czy dla niego ów pozornie niewinny gest też jest tak niepokojący, ale z jego twarzy nie mogła nic wyczytać.

– Piękny pierścionek dla pięknej kobiety – rzekł, patrząc na Tony’ego, a potem zwrócił się do niej: – Życzę wszystkiego najlepszego z okazji zaręczyn. Niewiele brakowało, a poznalibyśmy się przed świętami, podczas przyjęcia na pani cześć. Niestety, nie mogłem przyjść.

– Słyszałem, – że rozłożyła cię grypa – wtrącił Tony. – Twoja sekretarka mówiła, że pojechałeś do Vermont. Dziwię ci się. Samotność w święta, a w dodatku podczas choroby, to nieszczęście.

McAllister nie wypuszczał jej dłoni ze swojej, więc Stephanie rzuciła mu niezadowolone spojrzenie i usiłowała wyswobodzić rękę.

– Na wsi nigdy nie dokucza mi samotność. Zresztą tym razem było wyjątkowo ciekawie, bo wybawiłem pewną damę z opresji. Była piękna, warta grzechu i... wolna. – Rzucił Tony’emu spojrzenie, mówiące: „wiadomo, jak kobietom można wierzyć”. – Twierdziła, że jest wolna, a nie miałem podstaw posądzać, że mnie okłamuje.

Stephanie wypijała resztę szampana i z trudem opanowała chęć, by rozbić kieliszek na głowie człowieka, który zarzucił jej kłamstwo. Jej zdaniem był to szczyt bezczelności, chociaż pamiętała, że istotnie powiedziała, iż z nikim nie jest związana. Nie będąc jasnowidzem, McAllister nie mógł wiedzieć, że w

danym momencie mówiła prawdę.

Gdy podszedł kelner i Tony wdał się w dyskusję na temat wina, spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała:

– Panie...

– Damian, proszę.

Udała, że nie słyszy i ciągnęła tonem wyższości:

– Miło mi było pana poznać, lecz nie chcielibyśmy pana zatrzymywać. Jeśli ma pan ochotę przesiąść się do swojego stolika, proszę się nami nie kępować.

Popatrzył na nią oczyma, które raptem rozbłysły wesołością. Zaśmiał się gardłowo i wpatrywał się w nią z taką miną, że miała ochotę go spoliczkować.

– Co w tym śmiesznego? – syknęła jadowitym tonem. Kelner odszedł, więc Tony, który i tym razem nic nie zauważył, zaproponował:

– Co zamawiamy do jedzenia?

– Gould – zwrócił się do niego McAllister – twoja przemiła narzeczona sądzi, że przysiadłem się do was bez zaproszenia. Bądź łaskaw wyjaśnić, dlaczego jestem przy waszym stoliku.

– Ty bez zaproszenia? Dobre sobie. Steph, co ci przyszło do głowy? Myślałem, że się zorientowałaś...

– W czym?

– W tym, że Damian prowadzi firmę M. A. G., której pełna

nazwa brzmi McAllister Architectural Group. Jest świetnym architektem i to właśnie on ma zaprojektować nasz dom.

– Architektem? – powtórzyła jak papuga.

– Chciałem, żebyście się poznali, bo część obowiązków, związanych z budową domu, spadnie na twoje barki. Ze spotkaniami nie będzie żadnego kłopotu, bo pracujecie naprzeciwko siebie.

Przed jedenastą Tony odwiózł ją do domu. Gdy wysiedli z samochodu, rzekła nienaturalnym głosem:

– Przepraszam, że byłam mało błyskotliwa, ale mam migrenę.

– Kochanie, muszę powiedzieć, że sprawiłaś mi zawód. Liczyłem na to, że pojedziemy do mnie... Ale staram się być wyrozumiały, bo zauważyłem, że jesteś dziś bardzo blada.

Nie wymyśliła migreny, ponieważ rzeczywiście bolała ją głowa i robiło się jej słabo. Marzyła o tym, by się położyć, lecz najpierw musiała odbyć zasadniczą rozmowę. Wiedziała, że nie jest to właściwa chwila, aby oznajmić, że zrywa zaręczyny, lecz chyba nigdy nie ma odpowiedniego momentu na mówienie rzeczy przykrych.

– Tony... – zaczęła drżącym ze zdenerwowania głosem – muszę ci coś powiedzieć...

– O domu? Najdroższa, jeśli jest coś...

– Nie, nie o domu. – Na czoło wystąpiły jej krople potu.

– O naszych uczuciach.

– Kochana, wiem, że ostatnio straszliwie cię zaniedbuję, ale o tym pomówimy po moim powrocie.

– Wyjeżdżasz? – spytała niemile zaskoczona.

– Jutro rano lecę do Kalifornii i będę tam ze dwa, trzy tygodnie.

– To, co mam ci do powiedzenia, nie może tak długo czekać...

– Wszystko może. – Otworzył drzwi, oddał klucz i weszli do przedpokoju. – Przedyskutujemy sprawę, gdy będę wolniejszy.

– Proszę cię, posłuchaj. To naprawdę...

Zamknął jej usta pocałunkiem, a potem rzekł rozkazująco:

– Wyśpij się porządnie, bo chcę, żebyś była w dobrej formie.

Liczę na to, że udzielisz McAllisterowi niezbędnych informacji. W razie większych problemów, zawsze możesz skontaktować się ze mną.

Odszedł, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. Bezsilnie oparła się o ścianę. Nie załatwiła sprawy tak, jak zaplanowała i nadal była zaręczona, aż do powrotu Tony’ego. Nie wypada przecież zrywać zaręczyn bez powiadomienia narzeczonego.

Westchnęła niezadowolona, że będzie musiała udawać przez dwa tygodnie. Miała jednak nadzieję, że wytrwa, tym bardziej że była przekonana o słuszności swej decyzji. Po dokładnym przemyśleniu wszelkich za i przeciw doszła do wniosku, że Tony sam definitywnie przekreślił szansę na udane małżeństwo. Jego

zachowanie przed świętami zniszczyło jej miłość, a zresztą zaczęła wątpić, czy naprawdę go kochała.

Miała trochę wyrzutów sumienia, ponieważ zdawała sobie sprawę, że duma Tony'ego ucierpi, gdy wyjdzie na jaw, że narzeczona go porzuciła. Czowała się fatalnie z tego powodu, lecz nie widziała innego wyjścia z sytuacji.

Jedyne, co mogła zrobić, to nie uchylać się od omawiania z McAllisterem planów, związanych z budową domu. Uważała, że tyle jest winna Tony'emu i miała nadzieję, że jakoś przetrwa służbowe spotkanie.

Nazajutrz zajęła się usuwaniem świetlnych życzeń noworocznych, które po Bożym Narodzeniu zastąpiły świąteczne. W pewnej chwili poczuła jakby ukłucie w plecy. Odwróciła się, spojrzała na okna firmy M. A. G. i w jednym dostrzegła cień. Była to sylwetka wysokiego mężczyzny; McAllister we własnej osobie. Pospiesznie skończyła pracę i wróciła do sklepu.

Jej pomocnica, Joyce Pym, miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, krótko przystrzyżone, szpakowate włosy, pogodne usposobienie i niespożytą energię. Pracowały razem od ponad roku i zdążyły się zaprzyjaźnić.

– Joyce – zaczęła Stephanie pozornie obojętnym tonem – ten budynek po drugiej stronie ulicy...

– Który?

– Ten z biurem projektowym.

– Chodzi ci o M. A. G. ?

– Tak. Ich parking jest w podwórzu?

– Nie, pod ziemią. Wiem dzięki temu, że moja znajoma u nich pracuje.

– O, dużo masz tam znajomych?

– Tylko jedną osobę. – Joyce uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Marjorie Sutton, bo tak się nazywa moja przyjaciółka, wciąż opowiada mi o szefie. Jest sekretarką niejakiego pana McAllistera, który według niej jest ideałem. Gdybyś jej nie znała, a tylko słyszała, jak o nim mówi, byłabyś przekonana, że to panna na wydaniu, która zastawia na niego sidła. A Marjorie od wielu lat jest szczęśliwą mężatką i matką.

Stephanie zamknęła pudło z ozdobami.

– McAllister... Tak samo nazywa się architekt, którego Tony zaangażował do budowy domu.

– To on. – Joyce wyrwało się westchnienie z głębi piersi. – Biedak pięć lat temu stracił żonę. Byli dopiero kilka miesięcy po ślubie i spodziewali się dziecka. Marjorie twierdzi, że szef się załamał i właściwie do dzisiaj nie przeboleł straty. Jego żona, z domu Cabot, pochodziła z bardzo zamożnej rodziny. – Smętnie pokiwała głową. – To kolejny przykład, że nawet duże pieniądze nie gwarantują szczęścia.

Dwa dni później w południe zadzwonił telefon. Odebrała Stephanie.

– Dzień dobry. Mówi McAllister. Kiedy możemy się spotkać?

Najchętniej odparłaby, że nigdy, lecz mimo to powiedziała:

– Ja chyba mogę swobodniej dysponować czasem i dlatego zostawiam panu wolną rękę.

– Dziękuję. Więc teraz, dobrze?

– Teraz zaraz?

– Skoro mam wolną rękę...

– Niech pan nie będzie złośliwy. Proszę zaczekać. – Odłożyła słuchawkę i poszła na zaplecze do Joyce, zajętej wypakowywaniem aksamitnych łabędzi. – Przepraszam cię, ale czy będziesz mogła zastąpić mnie w sklepie? Okazuje się, że muszę wyjść.

– Już się robi.

Gdy podniosła słuchawkę, zdawało się jej, że słyszy niecierpliwe bębnienie palcami.

– Panie McAllister...

– Damian.

– Mogę wyjść – rzuciła przez zaciśnięte zęby. – Gdzie się...

– Za pięć minut, przed sklepem.

Bez ceregieli się rozłączył, a Stephanie ze złości zacisnęła

pięści.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała Joyce. – Pewno na wagary, bo taka ładna pogoda.

– Pan McAllister ma mi coś do powiedzenia w sprawie domu. Za chwilę po mnie przyjedzie.

Umyła ręce, poczesła się i narzuciła żakiet. Po powrocie z zaplecza zastała Joyce przy oknie, z wypiekami na twarzy.

– Już czeka. Faktycznie przystojny...

– Teraz wiesz, dlaczego twoja znajoma pieje z zachwytu. Czy obie macie słabość do posępnych mężczyzn?

– Ja nie.

Wyjrzała przez okno. McAllister siedział w srebrzystym mercedesie i obojętnie patrzył w dal.

– Na razie. Trudno mi powiedzieć, kiedy wrócę, bo niestety nie ja decyduję. Jeśli nie zdążę do czwartej, zamknij sklep i idź do domu.

McAllister wysiadł, aby otworzyć drzwi samochodu. Miał na sobie niebieskie dżinsy, flanelową koszulę i marynarkę w stalowoniebieskim odcieniu, który podkreślał kolor jego oczu. Rzeczywiście był zniewalająco atrakcyjny.

– Jestem do dyspozycji – powiedziała przytłumionym głosem.

– Dokąd jedziemy?

– Obejrzymy miejsce, w którym ma stanąć dom.

– Aha.

– Gould mówił, że jeszcze tam nie byłaś.

– Rzeczywiście.

– Myślałem...

Urwał, więc spojrzała na niego zaintrygowana.

– Co pan... co myślałeś?

– Nieważne.

– Jednak chciałabym wiedzieć. Zerknął na nią z ukosa.

– Gdybym ja zamierzał zbudować dom dla przyszłej żony... to najpierw sam pokazałbym jej parcelę... przynajmniej raz. A nie, żeby architekt mnie w tym wyręczał.

– Nie musisz, jeśli uważasz, że to nie należy do twoich obowiązków.

– Źle mnie zrozumiałaś. Nawet gdybyś już tam była z narzeczoną, i tak chciałbym cię zawieźć na miejsce, bo muszę pokazać, jak według mnie powinien być usytuowany dom. Chodziło mi o...

– Rozumiem bez mówienia. – Wyciągnęła nogi. – Tony ostatnio był zbyt zajęty, żeby tam ze mną pojechać. Jego styl pracy...

– Nie potrzebujesz go tłumaczyć, bo doskonale wiem, jak Gould funkcjonuje.

W jego pozornie obojętnym tonie wyczuła ostrą krytykę, ale nie

rozumiała, o co chodzi. Przykro jej się zrobiło na myśl, że widocznie ci dwaj mężczyźni niezbyt się lubią i antypatia do narzeczonego może przenieść się na nią. Czuła się coraz gorzej w związku z tym, że sytuacja była dwuznaczna i niezręczna. W takich warunkach jej spotkania z McAllisterem zapowiadały się źle, a będą nie do zniesienia, jeśli jego stosunek do niej nie ulegnie zmianie.

– Jest pewna sprawa, którą muszę wyjaśnić – powiedziała z ociąganiem. – Chodzi o kłamstwo, które mi zarzuciłeś. Faktycznie powiedziałam, że nikogo nie mam, ale chcę wytłumaczyć, dlaczego tak postąpiłam...

– Gdy Gould zamierzał mnie przedstawić – przerwał jej ostro – zachowałeś się tak, jakbyś chciała, żebym udawał, że się nie znamy.

– Tylko dlatego...

– Nie obchodzi mnie, jakie były powody. Twierdzisz, że powinienem coś wiedzieć. Po jakie licho? Ja nie muszę nic ukrywać. To ty chciałaś nasze spotkanie zachować w tajemnicy. Mogę cię zapewnić, że wyrzuciłem je z pamięci. Wcześniej się nie znaliśmy i nic nie było. Zrozumiano?

Zrozumiała przede wszystkim to, że Damian McAllister jest nieczułym, twardym i apodyktycznym człowiekiem, któremu obojętne są motywy postępowania bliźnich.

Jednak mimo złości, jaka ją ogarnęła, pamiętała, co Joyce o nim mówiła. Spojrzała na bruzdy wokół jego ust, zastanawiając się, czy powstały, gdy stracił żonę i nie narodzone dziecko. Ogarnęło ją takie współczucie, że do oczu napłynęły łzy. Trudno jej było pogodzić się z tym, że McAliister jest nieczuły. Wolała uważać, że po prostu ma złamane serce.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Parcela znajdowała się przy szerokiej ulicy wysadzonej klonami. Stało tam kilka nowych, dużych domów jak pałace. Na pustej przestrzeni hulał wiatr przejmujący do szpiku kości, więc Stephanie zapięła skafander i ręce wsunęła do kieszeni.

– Jak ci się tu podoba? – zapytał McAllister.

– Bardzo ładne miejsce. I dobrze, że rosną stare drzewa, które podczas upałów będą dawać przyjemny chłód.

– Dom ma być frontem zwrócony na południe, więc we wszystkich pokojach będzie słońce przez cały dzień.

– Ale w kuchni przydałoby się trochę cienia. Ma być duża, bo Tony zamierza często przyjmować gości.

Wiedziała, że mówi sztucznym, nienaturalnym głosem i bardzo ją to irytowało. Nie lubiła udawać, więc dla niej obecna sytuacja była wielce nieprzyjemna. Jej kontakty z McAllisterem też były niezręczne, co ją gniewało. Nie wypadało jej mówić, że zerwała zaręczyny, lecz mogła powiedzieć coś, co powinno zmniejszyć przykre napięcie między nimi. Przystanęła zdecydowana, że im prędzej wyjaśni, tym lepiej.

McAllister również się zatrzymał i spojrzał na nią ze zmarszczonym czołem.

– O co chodzi?

Zacząła mówić prędko, ze strachu, że jej przerwie i nie pozwoli dokończyć:

– Tuż przed Bożym Narodzeniem zerwałam zaręczyny, więc wtedy mówiłam prawdę, że nie jestem z nikim związana.

Patrzył na nią bez zmrużenia oka. Płynęły sekundy, a on milczał, jakby trudno mu było pojąć to, co usłyszał. Doliczyła do piętnastu, zanim się odezwał:

– Wobec tego bardzo przepraszam, że posądziłem cię o kłamstwo.

– Udzielam rozgrzeszenia.

Znowu tak długo wpatrywał się w nią bez słowa, że poczuła się nieswojo.

– Intryguje mnie jedna rzecz – odezwał się wreszcie.

– Mianowicie?

– Jesteś zupełnie niepodobna do kobiet, które widywaliśmy u boku Goulda...

– Jakie one były?

– Humorzaste, żądające luksusów. – Uśmiechnął się ironicznie.

– Okropne snobki.

– Czy jest to zawoalowany komplement?

– Jak chcesz. Poza rym dziwi mnie, że chociaż nazwisko Goulda często pojawia się w rubrykach zawierających plotki z

życia bogatych ludzi, twojego nigdy tam nie widziałem. Ukazało się dopiero z okazji waszych zaręczyn. Jest jasne, że nie obracacie się w tych samych kręgach, więc jak i gdzie się poznaliście?

– Tony jest właścicielem budynku, w którym mam sklep. Mniej więcej przed rokiem chciał go sprzedać i przyszedł razem z ewentualnym nabywcą, aby mu pokazać całość. Wtedy się poznaliśmy.

– Miłość od pierwszego wejrzenia?

– Dla niego rzekomo tak.

– A dla ciebie?

– W moim wypadku to był dłuższy proces.

– Ślub ma być we wrześniu, prawda?

– O! Tony zdradził?

– Nie, twój bratanek.

– Jason?

– Chyba. Chłopiec, z którym rozmawiałem, gdy poszłaś do domu.

– To mój chrześniak.

– Sądzę, że bardzo cię kocha.

– Z wzajemnością.

– Ale nie podoba mu się twój przyszły mąż.

– Tak powiedział?

– Użył innych słów, ale ich sens był właśnie taki.

– Odnoszę wrażenie, że nie tylko on go nie lubi. Mam rację?

– Najważniejsze, żeby lubiła go kobieta, która ma zamiar za niego wyjść – odparł wymijająco.

– Tak. – Na jej ustach pojawił się gorzki uśmiech, więc nieco odwróciła głowę. – Rzeczywiście jest to podstawowa sprawa.

– Jednak o coś się poróżniliście, prawda?

– Podobno im większa miłość, tym większe przeszkody.

– W waszym wypadku chyba nie było to nic poważnego.

– Skąd taki wniosek?

– Bo prędko i łatwo się pogodziliście.

– Jak to łatwo?

– W Rockfield widziałem przez okno, że Gould cię obejmuje.

– Aha... Dla mnie to była istotna kwestia.

– O co wam poszło?

Zamierzała ostro powiedzieć, żeby nie wtrącał się w nie swoje sprawy, a tymczasem, ku swemu zaskoczeniu, odparła:

– o to, gdzie mamy spędzić Boże Narodzenie. W połowie grudnia obiecaliśmy moim rodzicom, że spędzimy święta z nimi. Później, na zaręczynowym przyjęciu, państwo Whitneyowie zaprosili nas do Aspen i... Tony przyjął zaproszenie. Złamał obietnicę, czyli zrobił coś, czego nie wybaczam, więc zwróciłam mu pierścionek.

– Mimo to przyjechał do Rockfield...

– Bo gdy się pakował, uświadomił sobie, że jednak woli być ze mną.

McAllister zamilkł na dobre dwie minuty, po czym zapytał tak ostrym tonem, że nerwowo drgnęła:

– Co powiedział Whitneyom?

– Oczywiście prawdę... Przyznał się, że wcześniej obiecał gdzie indziej spędzić święta i dlatego nie może skorzystać z ich propozycji. Twierdził, że przyjęli jego wyjaśnienie ze zrozumieniem.

– Ten twój narzeczony potrafi wywinać się jak piskorz. Jawny sarkazm zirytował ją, mimo że jej uczucia w stosunku do Tony'ego diametralnie się zmieniły.

– Hipokryzji też nie lubię – rzuciła gniewnie. – Skoro tak go nie cierpisz, dlaczego przyjąłeś zlecenie?

– Bo w interesach nie ma sympatii i antypatii. A budowa waszego domu jest dla mnie dobrym interesem.

Powiedział to tonem, który ją tak boleśnie dotknął, że położył kres dalszej rozmowie.

– Nasze spotkanie to też tylko interes – syknęła, ruszając przed siebie. – Zajmijmy się sprawami związanymi z budową domu.

Godzinę później pożegnała go bardzo chłodno, więc przeklinał sam siebie. Nie rozumiał, dlaczego przelał swą niechęć do Goulda

na jego narzeczoną. Nie mógł jednak opanować się, gdy usłyszał, że Tony pojechał do Rockfield, ponieważ nie wyobrażał sobie świąt bez narzeczonej. Prawda była zupełnie inna i on ją znał. Otóż dom w Aspen doszczętnie spłonął dwudziestego drugiego grudnia. Dowiedział się o tym z ust samej pani Whitney, która zadzwoniła do niego z prośbą, aby zaprojektował nowy dom. Przy okazji wspomniała mimochodem, że udało się jej powiadomić wszystkich gości o pożarze. Goulda znalazła w ostatniej chwili, gdy był na lotnisku, w drodze do Kolorado.

Zastanawiał się, co prostolinijna Stephanie widzi w takim nicponiu. Uważał jednak, że nie ma prawa się wtrącać i mówić jej, jaki narzeczony jest naprawdę, chociaż podejrzewał, że kiedyś gorzko odpokutuje to, iż nie widzi jego prawdziwego oblicza. Mimo to niewiele brakowało, aby powiedział prawdę, ale nie chciał stracić jej sympatii. Wiadomo bowiem, że ludzie, którzy przekazują złe wieści, nie są lubiani.

Poniewczasie żałował, że przyjął zlecenie, ponieważ spotkania ze Stephanie będą go dużo kosztować. Wiedział, że oczami wyobraźni zawsze będzie ją widział w ramionach Goulda i bał się, że któregoś dnia poniosą go nerwy.

Nazajutrz około dziesiątej, ledwo Stephanie wyszła przed sklep, aby ocenić nową wystawę, Joyce zawołała ją do telefonu. Zdziwiła się, słysząc McAllistera. Zapowiedział, że odezwie się

pod koniec tygodnia, więc nie spodziewała się telefonu zaraz po obejrzeniu parceli.

- Czy możesz wyrwać się na godzinę lub dwie?
- Akurat jesteśmy bardzo zajęte...
- To może po pracy?
- Dobrze. Gdzie się spotkamy? – spytała obojętnym tonem.
- U mnie. Drugie piętro, naprzeciw windy.
- Więc do zobaczenia o wpół do szóstej.

Przez cały dzień ruch był wyjątkowo duży. Stephanie zamknęła sklep po wpół do szóstej i pobiegła na drugą stronę ulicy. Z windy wysiadła, słaniając się na nogach.

McAllister spojrzał na nią groźnie, lecz zapytał z niepokojem:

- Co ci jest?
- Nic.

Posadził ją w fotelu i podał szklanekę wody.

- Dziękuję. – Duszkiem wypijała połowę. – Bardzo dobra.
- Jak się czujesz?
- Na moment zakręciło mi się w głowie, ale już lepiej.
- Jadłaś dzisiaj coś konkretnego?
- Tylko śniadanie. – Uśmiechnęła się blado. – Od samego rana wysypał się worek z klientami, więc oprócz kawy nie miałam nic w ustach i...

– Proponuję, żebyśmy poszli coś zjeść. Niedaleko jest bardzo przyzwoita pizzeria, w której możemy spokojnie porozmawiać.

Nim odpowiedziała, zaburczało jej w brzuchu.

– O, mój żołądek dopomina się o swoje prawa.

– I to głośno – roześmiał się. – Idziemy. – Zakładając marynarkę, zastygł w bezruchu. – Do licha, zapomniałem o pewnym telefonie. Jeszcze raz spróbuję i może tym razem kogoś zastanę.

Podszedł do biurka, wybrał numer, nakrył mikrofon dłonią i rzekł półgłosem:

– Nie sądzę, żeby... – Odkrył mikrofon. – Dobry wieczór, tu Damian. Możemy iść na jutrzejszą kolację, ale trochę się spóźnię. – Przez chwilę słuchał kobiecego głosu, po czym powiedział: – Przyjadę po ciebie o wpół do dziewiątej. – Kobieta znowu zaczęła mówić, lecz jej przerwał. – Wybacz, Tiffany, ale teraz nie mogę rozmawiać, bo akurat wychodzę z klientką. Do zobaczenia jutro.

Stephanie znała tylko jedną kobietę o takim imieniu, a mianowicie Tiffany Whitney. Pochodząca z najstarszej i najbardziej szanowanej rodziny w Bostonie, piękna i pewna siebie trzydziestoletnia blondynka przed laty była związana z Tonym Gouldem. Nie omieszkała powiedzieć o tym Stephanie przy pierwszym spotkaniu. Teraz widocznie uwodziła Damiana McAllistera.

Zrobiło się jej przykro, ale oburzyłaby się, gdyby ktoś powiedział, że jest zazdrosna.

– Widzę po twojej minie, że wybrałem odpowiedni lokal. Co zjesz?

– Muszę się zastanowić. – Spojrzała na niego niepewnie. – Wybrałabym specjalność zakładu, ale nie przepadam za sardelami.

– Ja lubię, ale mogę się bez nich obejść. A ty obejdiesz się bez ananasów?

Udała, że głęboko zastanawia się nad odpowiedzią.

– No, od biedy mogę.

– Masz jakieś inne zastrzeżenia?

– Nie.

– To dobrze.

Zamówił specjalność zakładu bez sardeli i ananasów i zwrócił się do Stephanie:

– Mnie chce się pić, a tobie?

– Jeśli można, od razu napiłabym się kawy.

Po odejściu kelnera odchylił się na krześle i uważnie popatrzył na Stephanie, która poczuła się nieswojo. Podejrzewała, że jej zażenowanie go bawi i dlatego chciała spróbować, czy uda się wprawić go w zakłopotanie. Chrząknęła i z całą powagą zaczęła:

– Uważałeś, że nie powiedziałam ci prawdy i pochopnie

nazwałeś mnie kłamczucha, a sam oszukujesz. Ja nie ukrywałam, co robię, a ty? Gdy zapytałam o twój zawód, odpowiedziałeś, że... rysujesz. – W jej głosie brzmiało potępienie. – Czemu uciekłeś się do półprawdy? Oczywiście uważałam cię za artystę, który na stałe mieszka w Vermont.

Roześmiał się, zamiast zawstydzić, jak oczekiwała.

– Lepiej nie pytaj, bo odpowiedź na to pytanie nie przypadnie ci do gustu.

– Zaryzykuję.

– Uprzedzam, że ci się nie spodoba.

– Lubię sama decydować o tym, co mi się podoba.

– Jak chcesz. – Wzruszył ramionami. – Gdy podałaś nazwę swojego sklepu w Bostonie, zorientowałem się, że jesteśmy sąsiadami. Nie lubię zawiłych damskomeńskich sytuacji... Pomyślałem, że jeśli ulegnę pokusie i wylądujemy w łóżku, możesz wykorzystać to po powrocie do Bostonu...

– Co takiego? Zapewniam cię, zarozumiałcze, że byłam jak najdalej od myśli o... łóżku. I jak śmiesz posądzać mnie o to, że gdybyś zdołał mnie uwieść, później bym się naprzykrzała? To wstrętne! Obrzydliwe! – Pochyliła się i wbiła w niego pałający wzrok. – Nie wyobrażam sobie związku z człowiekiem, który nie ceni tego, co ja. Na przykład nie obchodzi świąt Bożego Narodzenia.

Miała zaczerwienione policzki i zaciśnięte pięści. McAllister podniósł rękę, aby powstrzymać lawinę zarzutów.

– Uprzedzałem – rzekł łagodnie – że powody, jakie mną kierowały, nie przypadną ci do gustu.

Rozmowę przerwał kelner, który przyniósł olbrzymią, apetycznie pachnącą pizzę.

– Życzę państwu smacznego.

– Dziękujemy.

Stephanie zmrużyła oczy i patrzyła na doskonale przyrządzoną pizzę, której nie miała ochoty jeść.

– Wiem, że masz ochotę wyjść jak obrażona królewna – mruknął McAllister. – Smacznego – powtórzył za kelnerem. – Pizza jest taka apetyczna, że mnie ślinka cieknie. Nie wybrzydzaj i jedz.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W powietrzu wirowały wielkie śnieżynki, a naokoło na ziemi leżała gruba warstwa białego puchu. Widocznie śnieg już dość długo padał, ale oni byli tak zajęci omawianiem szczegółów budowy, że mimo iż siedzieli koło okna, nie zauważyli zmiany pogody.

Stephanie skuliła się z zimna i postawiła kołnierz zakietu.

– Odwiozę cię z powrotem pod sklep – zaproponował McAllister. – Tam zostawiłaś wóz, prawda?

– Nie mam samochodu...

– Jeszcze nie kupiłaś?

– Nie, jeżdżę autobusem. Przystanek jest za rogiem, więc tu się pożegnamy.

– Wykluczone. Odwiozę cię do domu.

Ujął ją pod rękę i poprowadził w stronę samochodu, chociaż usiłowała protestować.

– Naprawdę nie trzeba. Bez trudu...

– Nie zostawię cię o tej porze samej. Przestała upierać się i posłusznie wsiadła.

– Jedziesz prosto do Goulda? – spytał, wyjeżdżając z parkingu.

– Że co proszę?

– No, chyba mieszkanie razem. Czyżbym się mylił?

– Nawet bardzo.

– Przecież jesteście zaręczeni... – Lekko wzruszył ramionami. –

Dla mnie było zupełnie oczywiste, że mieszkanie pod jednym dachem.

Nie miała zwyczaju rozmawiać na tematy osobiste z kimkolwiek, a tym bardziej z dalszymi znajomymi. Dlatego nawet gdyby nadal była zaręczona z Tonn'ym, nie uważałaby za stosowne mówić, że nie są kochankami.

– Po to, żeby się z kimś zaręczyć, niekoniecznie trzeba z tą osobą mieszkać – powiedziała, siląc się na żartobliwy ton. – Mieszkam z koleżanką.

Podawała adres i ostentacyjnie odwróciła głowę, tym samym dając do zrozumienia, że nie życzy sobie rozmowy na drażliwy temat.

Jechali w milczeniu i po kwadransie stanęli przed jej blokiem. Widząc, że McAllister chce wysiąść, czym prędzej powiedziała:

– Proszę się nie fatygować, ja...

– Nic podobnego.

Gdy doszli do drzwi, spojrzała na niego poważnie i powiedziała:

– Dziękuję za kolację i odwiezienie do domu. Kiedy ma być następne spotkanie?

Starła się mówić opanowanym głosem, lecz przychodziło jej

to z trudnością. McAllister patrzył na nią wzrokiem, od którego robiło się jej gorąco. Tony nigdy tak na nią nie patrzył.

– A kiedy chciałabyś się ze mną spotkać? – Delikatnym muśnięciem usunął płatki śniegu z jej czoła. – Ty decydujesz.

– Ja? – Gwałtownie odsunęła głowę. – Wydawało mi się, że wszystko zależy od ciebie.

Była zła na siebie za nerwowy ruch, jakiego nie zdołała opanować, a który ją zdradził.

– Może w sobotę? Do tego czasu zdążę uwzględnić poprawki, o których mówiliśmy. Najlepiej zadzwoń do biura i z sekretarką ustal godzinę. Mnie odpowiadałoby popołudnie, a tobie?

– Teoretycznie też.

Otworzyła torebkę, aby wyjąć klucze i gdy pochyliła głowę, włosy opadły jej na oczy. Zanim je odsunęła, zrobił to McAllister, więc poczuła jego gorące palce na karku. Oboje wstrzymali oddech.

Po kilku sekundach opanowała się i usunęła rękę, ciężącą jej na karku. Z emocji uginały się pod nią nogi, więc oparła się o futrynę.

– Ty też to czujesz – skomentował bez zdziwienia. – Tak podejrzewałem.

– Nie wiem, co na to powiedzieć – szepnęła.

– Najlepiej otwarcie przyznaj, że mam rację i że coś nas łączy...

– Wmawiasz sobie – skłamała, chociaż jeszcze drżała od dotyku jego ręki. – Nic nas nie łączy.

– Ale mogłoby coś między nami być, prawda? Gdybyś nie była zaręczona...

– Coś, czyli romans? Na pewno w grę wchodzi tylko to, bo wiadomo, że pana McAllistera nie interesuje małżeństwo. A mnie z kolei nie odpowiada romansowanie...

– Witaj, Steph!

Podeszła Janey z gołą głową i w rozpiętym skafandrze. Obrzuciła McAllistera ukradkowym, a jednocześnie taksującym spojrzeniem i szeroko się uśmiechnęła.

– Witaj. – Stephanie zerknęła na duże pudło obwiązane żółtą wstążką i roześmiała się mimo woli. – Widzę, że wracasz z CakeTin.

McAllister chrząknął, więc przypomniała sobie, że wypada go przedstawić.

– Janey, pozwól, to pan Damian McAllister, architekt, o którym ci wspominałam. Pani Janey Martin jest moją przyjaciółką, z którą mieszkam.

Janey energicznie uścisnęła dłoń McAllistera i bez żenady przyjrzała mu się z bliska. Widocznie ocena wypadła pozytywnie, gdyż rzekła z pełnym wdzięku uśmiechem:

– Szarpnęłam się na tort beżowy z masą czekoladową i

truskawkami. Może wstąpi pan na kawę i ciasto?

– Janey! – Stephanie rzuciła jej gniewne spojrzenie. – Pan McAllister spieszy się do domu...

– Nie tak bardzo – przerwał jej i uwodzicielsko uśmiechnął się do Janey. – Nigdzie się nie spieszę. Poza tym mam małą słabość do tortu beżowego i... wielką do rudowłosych piękności.

Janey rozpromieniła się, natomiast Stephanie mocno zaczerwieniła. Rozgniewało ją, że McAllister uwodzi kobiety na prawo i lewo. Dopiero co wyznał, że marzy o romansie z nią, a już roztaczał urok przed jej przyjaciółką.

W windzie stała nadąsana, a w domu przeprosiła i poszła do swego pokoju. Nie czuła się gospodynią, ponieważ to Janey zaprosiła gościa, więc ona miała obowiązek go zabawić. Poszła umyć ręce i przyjrzała się sobie w lustrze. Bez namysłu gładko zaczesła włosy i mocno ściągnęła gumkę, ale zaraz uświadomiła sobie, że McAllister domyśli się, dlaczego zmieniła fryzurę, a tego nie chciała. Zgrzytając zębami, zdjęła gumkę i uczesała rozpuszczone włosy.

Po kilku minutach uspokoiła się na tyle, że mogła pójść do bawialni. Janey i Damian stali przy oknie i serdecznie się z czegoś śmiali.

– O, jesteś! – zawołała rozbawiona Janey. – Zapraszam do stołu i tortu; już robię kawę.

Stephanie sądziła, że McAllister zajmie miejsce obok niej, a tymczasem przycupnął na oparciu fotela, w którym siedziała przyjaciółka.

Janey spróbowała tortu, zamknęła oczy i szepnęła rozanielona:

– Marzenie!

Otworzyła jedno oko i spojrzała na McAllistera, więc Stephanie nie wiedziała, czy mówiła o torcie, czy o gościu. Nie rozumiała, jak ona może spokojnie jeść, gdy obok siedzi ktoś, kto rzekomo jest zachwycony jej urodą.

– Wiesz – zwróciła się do niej Janey – okazało się, że Damian i ja mamy podobny gust i lubimy te same filmy. Obejrzał „Cztery wesela i pogrzeb” więcej razy niż ja...

– Ale to nie wszystko. – McAllister zaczął wywijać widelczykiem, co Stephanie w duchu skrytykowała jako brak dobrych manier. – Słuchamy tej samej muzyki... uwielbiamy „The Proclaimers”... i co rano biegamy w parku.

– A w dodatku, wyobraź ty sobie, od lat chodzimy do tej samej księgarni, gdzie szukamy podobnych książek...

– Ulubionym pisarzem Janey jest P. D. James...

– I jego też. Czy to nie fantastyczne?

Stephanie miała ochotę krzyczeć ze złości, ponieważ ona tym wszystkim się interesowała. To ona namówiła przyjaciółkę na pójście do kina, aby zobaczyć Hugh Granta. Zapoznała ją z

muzyką „The Proclaimers” i dała pierwszą książkę P. D. Jamesa. Właściwie ona, a nie Janey miała wspólne zainteresowania z McAllisterem.

– Rzeczywiście fantastyczne – powiedziała obojętnie. – Czy wiedzą państwo, że najnowszy film z Grantem od piątku będzie w naszym kinie? Skoro oboje tak lubicie tego aktora, powinniście razem go obejrzeć.

McAllister rozczarował ją, ponieważ zamiast się wycofać, ochoczo podchwycił myśl. Spojrzał na Janey roziskrzonym wzrokiem i zapytał:

– Jesteś wolna w piątek?

– Dla ciebie zawsze.

– Przecież piątki zarezerwowałaś dla Freda – wyrwało się Stephanie.

– Phi, co tam Fred. – Janey machnęła ręką. – On już jest zamierzchnią przeszłością. Damianie, pójdziemy na popołudniowy seans?

– Nie. Jak się bawić, to na całego. – Błysnął zębami w szerokim uśmiechu. – Zapraszam cię na kolację, a potem do kina. Jeśli chcesz, pójdziemy do pizzerii, w której dziś byliśmy. Można ją polecić, prawda, Stephanie?

Patrzyła na nich rozszerzonymi oczami, nic nie rozumiejąc.

– Steph?

Głos Janey dochodził do niej jakby z bardzo daleka.

– Co? Jak? – Powoli oprzytomniała. – Pizzeria? Tak, tak, warta polecenia.

Próbowała się uśmiechnąć, lecz usta odmówiły jej posłuszeństwa; leciutko uniosła kąciki i na więcej się nie zdobyła. Wiedziała, że powinna się cieszyć ze względu na przyjaciółkę, lecz jakoś nie mogła. Czuła się przygnębiona i nieszczęśliwa, chociaż nie rozumiała, z jakiego powodu. Przecież nie pragnęła bliższej znajomości z McAllisterem. Choćby dlatego, że był zatwardziałym kawalerem i nie uznawał Bożego Narodzenia.

Podejrzewała, że głównie ma pretensję o to, iż jej nie zaproszono. Byłaby odrzuciła propozycję, lecz dobre wychowanie nakazywało również i jej zaproponować pójście do kina. Niemile ją zdziwiło, że McAllister do tego stopnia zapomniał o manierach.

Po wyjściu gościa Janey była niezwykle przejęta perspektywą randki i tylko o tym mówiła, więc Stephanie sprzykrzyło się słuchać. Pełna wyrzutów sumienia skłamała, że boli ją głowa i poszła do siebie.

Rano wstała później niż Janey, która prowadziła przedszkole i codziennie zaczynała pracę o siódmej. Tego dnia była szczególnie zadowolona, że jest sama, ponieważ nie mogła pogodzić się z tym, że przyjaciółka spędzi wieczór z McAllisterem. Nie potrafiła myśleć o niczym innym, chociaż nie rozumiała, dlaczego ją to tak

dręczy.

W piątek, po powrocie z pracy zastała Janey krygującą się przed lustrem.

– Dzień dobry.

– Czekam na ciebie. – Janey spojrzała na nią radośnie uśmiechnięta i obróciła się dookoła. – Jak się prezentuję? Po lunchu zajrzałam do kilku sklepów i to sobie kupiłam.

– Wyglądasz zabójczo – orzekła Stephanie.

– Właśnie o taki efekt mi chodziło.

Obcisły rdzawy sweter i równie obcisłe spodnie doskonale uwypuklały jej krągłe kształty.

– O, widzę, że i buty masz nowe.

– Chyba oszalałam. – Rozpromieniła się jeszcze bardziej.

– Ale może ta inwestycja nie pójdzie na marne. – Znowu okręciła się kilka razy. – Kto wie, jak wieczór się skończy? Może to początek wymarzonej przygody? – Zdyszana opadła na fotel i roześmiała się perliście. – A ty jakie masz plany na dziś?

– Tony wrócił – odparła Stephanie bezbarwnym głosem.

– Idziemy na kolację.

– To dobrze. Chcesz wiedzieć, co jeszcze kupiłam? Flakonik Wild Ecstasy. Podobno te perfumy działają na wszystkich mężczyzn... Wiem, że nie powinnam szastać pieniędzmi, ale żyje

się raz. *Carpe diem!* Oj, czas na mnie, a zapomniałam o kolczykach. Wpuścisz Damiana? Pewno już jedzie na górę.

Stephanie przysiadła na kanapie. Była bardzo zmęczona i jak zwykle zastanawiała się, skąd przyjaciółka bierze siły. Janey przez cały dzień zajmowała się dziećmi jak żywe srebro, a mimo to wieczorem tryskała energią. Natomiast ona, nawet po niezbyt ciężkim dniu, czuła się wyczerpana.

Rozległo się głośne stukanie, więc na palcach poszła sprawdzić, czy za drzwiami stoi zapowiadany gość. Przez wizjer zobaczyła McAllistera w czarnym golfie i czarnej skórzanej marynarce. Coś ścisnęło ją za gardło, lecz gdy otworzyła drzwi, powiedziała lodowatym tonem:

– Proszę.

– Dzień dobry. – Przyjrzał się jej zaniepokojony. – Boli cię głowa?

Znużonym gestem wskazała bawialnię.

– Janey jest gotowa i zaraz przyjdzie. Proszę wybaczyć, ale dopiero co wróciłam z pracy i...

– Zaczekaj.

– Dlaczego? – Spojrzała na niego zezem. – o co chodzi?

– Chciałbym podziękować za misia. – Chrząknął niepewnie. – Znalazłem go zaraz po powrocie z Rockfield. Czemu mi go zostawiłaś?

– Czy ja wiem. Jakiś impuls...

– Żałujesz, że mu uległaś?

– Trudno powiedzieć, bo przecież nie wiem, jak mój prezent został przyjęty. Może masz pełną szafę zabawek z dzieciństwa. ..

– Nie mam. – Odwrócił wzrok. – Nie posiadam nic, co by mi przypominało tamte czasy.

Dotąd była przekonana, że każdy zachowuje coś na pamiątkę, miała więc ochotę zapytać, dlaczego on tego nie zrobił. Intuicyjnie jednak czuła, że to zakazany temat.

– Jeśli go nie chcesz, daj...

– Nikomu nie dam – przerwał. – Wiesz, poduszka pachniała twoimi perfumami. Rano, zanim się rozbudziłem, myślałem, że leżysz obok.

Zakręciło się jej w głowie, więc aby nie stracić równowagi, położyła ręce na oparciu krzesła. Myśl, że mogłaby znaleźć się w jednym łóżku z McAllisterem, wywołała niepokojące i nieznane uczucia.

– Dlaczego mi to mówisz? – szepnęła rozdygotana. Podszedł do niej bardzo blisko. Wiedziała, że powinna się odsunąć, lecz nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

– Czy możesz sobie wyobrazić moje rozczarowanie, gdy okazało się, że to było złudzenie? – spytał rozżalony i przytulił ją do piersi. – A gdy przypominało mi się, że jesteś zaręczona...

Stephanie zbladła jak płótno i szarpnęła się.

– Co ty wygadujesz? Nie zapominaj, że przyjechałeś po Janey.

– Głos jej się załamywał. – Panie McAllister, jest pan grubo nie w porządku, bo nie uwodzi się przyjaciółki kobiety, którą się zaprosiło na cały wieczór. Mam nadzieję, że Janey ma oczy otwarte i wie, w co się wplątała.

Zdażyła dobiec do sypialni, zanim Janey wyszła ze swojej.

– Do widzenia, Steph!

– Baw się dobrze.

– Do zobaczenia! – zawołał McAllister.

Stała przy drzwiach, ponieważ nie mogła postąpić ani kroku dalej. Słyszała beztroską paplaninę Janey, cichy głos McAllistera, ich wesoły śmiech. Potem trzasnęły drzwi i zapanowała cisza.

Tony popatrzył na nią zamglonym wzrokiem i rzekł:

– Kochanie, nawet nie wyobrażasz sobie, jak bardzo za tobą tęskniłem. Dopiero daleko stąd zrozumiałem, co jest najważniejsze w życiu. Postanowiłem, że odtąd musimy więcej być razem.

Stephanie ogarniała trudna do opanowania panika. Kończyli już kolację, a ona wciąż nie zdobyła się na to, by powiedzieć, że definitywnie zrywa zaręczyny.

– Dobrze, że znalazłaś czas dla McAllistera i omówiliście tyle

szczegółów.

– Przecież...

– Jaką masz o nim opinię?

– Niezłą, a Janey doskonałą. Raz odwiózł mnie, bo się zorientował, że nie mam samochodu. – Zdobyła się na lekki uśmiech. – On i Janey od pierwszego wejrzenia poczuli do siebie sympatię i zaraz umówili się na randkę. W tej chwili też są na kolacji, a potem idą do kina. Tony z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Kto by przypuszczał, że ona może być w jego guście? W niczym nie przypomina jego żony. Ashley Cabot pochodziła z dobrej rodziny i była prawdziwą damą. Mam nadzieję, że twoja przyjaciółka nie straci głowy, bo on na pewno nie myśli o małżeństwie.

Stephanie pomyślała, że najlepiej byłoby właśnie teraz nawiązać do ich planów. Czekwała tylko, aż Tony przestanie mówić.

– Jest zatwardziałym kawalerem, chociaż lubi kobiety. O ile wiem, zaraz na wstępie uprzedza, że nie zamierza wiązać się na stałe. Dla przykładu weźmy Tiff Whitney...

– O wilku mowa – rozległ się kobiecy głos. – Dzień dobry, Tony. Dlaczego o mnie plotkujesz?

Z trudem ukrywając niechęć, Stephanie zerknęła na elegancką

kobietę, której przyście wypadło w najmniej odpowiedniej chwili.

Tony wstał, aby się przywitać.

– Dzień dobry. To ty?

– We własnej osobie. Cześć, Stephanie – rzuciła niedbale i nie czekając na odpowiedź, ponownie zwróciła się do Goulda: – Dawno cię nie widziałam. Gdzie spędziłeś święta?

– W Rockfield – odparł z dziwnie nietęgą miną. – Pojechałem do rodziców Steph.

– Dobrze, że nie zostałeś na lodzie. – Odwróciła się do Stephanie: – Gdyby nie pożar u nas, spędziłabyś święta bez niego...

– Tiff! – przerwał jej ostro. – Dopiero co wróciłem z podróży służbowej. Długo mnie nie było, więc Steph i ja chcielibyśmy porozmawiać o naszym domu. Jeśli się nie pogniewasz...

Tiffany rzadko rozumiała aluzje, więc spokojnie zapytała:

– Zaangażowałeś Damiana, prawda? Nie mogłeś wybrać lepiej, bo jest bardzo zdolny. Nam też zaprojektuje chatę w Aspen.

– Budują państwo drugą? – wtrąciła Stephanie bez zainteresowania.

– Skądże. Musimy postawić nową na miejsce tej, która spłonęła przed Bożym Narodzeniem. – Tiffany zrobiła przesadnie przerażoną minę. – Gdyby pożar wybuchł kilka dni później, mogło skończyć się tragicznie. Zaprosiliśmy dużo osób i... –

Spojrzała na Tony'ego. – Mama mówiła, że byłeś już na lotnisku, gdy cię znalazła i uprzedziła, że zjazd odwołano z powodu pożaru.

Stephanie, która patrzyła na nich z osłupieniem, zapytała drżącym głosem:

– Dom się spalił? Wszystko odwołano? A mnie...

– Kochanie, uspokój się. – Tony pomógł jej wstać i zwrócił się do Tiffany: – To zaskoczenie, bo nic jej nie powiedziałem o pożarze, żeby się nie denerwowała. Sama widzisz, jaka ona wrażliwa.. Wybacz, ale muszę odwieźć ją do domu.

Stephanie czuła, jak jego palce wpijają się w jej ramię. Wiedziała, że Tony chce natychmiast wyprowadzić ją z sali. Bał się, że wywoła awanturę, lecz ona nie miała zamiaru robić scen. Ogarnęło ją uczucie ogromnej pustki i podświadoma ulga, że zerwanie zaręczyn teraz będzie dużo prostsze.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W poniedziałek rano, tuż po otwarciu sklepu, zadzwonił telefon.

– Jeśli do mnie – szepnęła Stephanie – powiedz, że jestem zajęta.

Joyce podeszła do telefonu.

– Słucham? Tak. Niestety, w tej chwili nie może. Czy coś przekazać? Dobrze, powtórzę. – Odłożyła słuchawkę. – Pan McAllister prosi, żebyś zadzwoniła i podała termin spotkania. Jemu by odpowiadał początek tygodnia.

– Dziękuję. – Zauważyła wchodzącą klientkę, więc poprosiła Joyce: – Bądź tak dobra i zajmij się panią, a ja pójdę zaparzyć kawę.

Potrzebowała chwili samotności, aby zastanowić się, jak postąpić. Uważała, że obowiązkiem Tony'ego jest zadzwonić do McAllistera i zawiadomić, iż odtąd powinien kontaktować się wyłącznie z nim. Nie miała wątpliwości, że budowa będzie postępowała dalej, ponieważ dom był pomysłem Tony'ego, nie jej.

Wzdrygnęła się na wspomnienie przykrew sceny, jaka rozegrała się, gdy powiedziała narzeczonemu, że nie wyjdzie za niego.

– Stephanie? – Na progu stała Joyce. – Co się stało?

– Och, nic. – Uśmiechnęła się żałośnie. – A właściwie coś ostatecznego. Patrz!

Wyciągnęła lewą rękę bez pierścionka, lecz Joyce nie zrozumiała, o co chodzi, więc musiała wyjaśnić.

O zerwaniu zaręczyn najpierw powiedziała Janey, a potem zadzwoniła do rodziców, którzy, o dziwo, przyjęli wiadomość bez komentarza. Kiedy później rozmawiała z Jasonem, dowiedziała się, że jej matka była bardzo zadowolona z obrotu sprawy. Pani Redford wprawdzie polubiła Tony’ego, lecz w głębi serca uważała, że nie jest odpowiednim mężem dla jej córki.

Joyce objęła Stephanie, ucałowała i mruknęła niewyraźnie, że jest tysiąc lepszych partii. Stephanie wróciła do sklepu, a ponieważ akurat nikogo nie było, wykręciła numer architektów. Miała nadzieję, że telefon odbierze sekretarka, więc bardzo się spieszyła, gdy usłyszała McAllistera.

– Słucham?

– Dzień dobry, mówi Stephanie. Niestety, nie będziemy mogli spotkać się ani w tym tygodniu, ani w następnym. Najlepiej byłoby skontaktować się z Tonym...

– Nie możesz wyjść nawet na godzinę? Aż taka jesteś zajęta?

– Tak... nie... właściwie nie, ale moja rola się skończyła. Tony wrócił, na pewno wszystko wyjaśni i weźmie sprawę w swoje

ręce.

– Obraziłaś się o to, że spędziłem wieczór z Janey? Nie posądzałem cię o małostkowość, zresztą sama podsunęłaś mi myśl, żebym ją zaprosił do kina. Ale do rzeczy, nie będę się z wami bawił w ciuciubabkę i jeśli chcecie, żeby dom był gotowy w sierpniu, trzeba się spieszyć.

– Proszę zadzwonić do Tony’ego – powtórzyła chłodno. – Od dziś wszystkie narady muszą być z nim. Ja nie...

– Kobieto, bądźże rozsądna. Emocje nie mogą kolidować z interesami – wycedził równie zimno. – Podejrzewam, że jesteś zazdrosna, bo spędziłem kilka godzin z Janey, ale ja nie chcę, żeby twoja złość popsuła kontakty służbowe...

– Zadzwoń do Tony’ego.

– A niech was licho porwie! Nie zależy wam na ukończeniu domu na czas? Mnie wszystko jedno. Mam innych klientów i to takich, którzy wiedzą, że czas to pieniądz. Gdy ci miną humory...

– Ja...

– Skontaktuj się ze mną, gdy przestaniesz zachowywać się jak kapryśne dziecko. Nie lubię takiego zawracania głowy!

Oczywiście nie zadzwoniła, i to przez kilka tygodni. Przez ten czas udało się jej uspokoić na tyle, że coraz rzadziej myślała o obu mężczyznach. Zresztą w godzinach pracy przychodziło jej to dość

łatwo, ale wieczorami było dużo trudniej.

Janey często spędzała wieczory poza domem, lecz nigdy ani słowem nie wspominała o McAllisterze. Stephanie była ciekawa, czy się z nim widuje, ale nie chciała zadawać niedyskretnych pytań. Jednak pewnej soboty, gdy Janey wróciła wyjątkowo rozmarzona, z oczami jak gwiazdy, nie wytrzymała. Wyłączyła telewizor i zapytała o to, co ją dręczyło:

– Spotykasz się wciąż z McAllisterem?

Janey zdjęła zakiet, stanęła koło kominka i posmutniałym wzrokiem spojrzała na przyjaciółkę.

– Nie – odparła cicho. – Skończyło się na jednej kolacji i kinie.

Stephanie zaczerwieniła się jak rak.

– Przepraszam. Czułam się winna, że wtedy paskudnie się zachowałam i niejako go tobie narzuciłam.

– Nic podobnego. – Janey odsunęła włosy z czoła. – I tak byśmy się umówili, nawet gdybyś nic nie powiedziała o filmie.

– Ach tak. – Stephanie chrząknęła zawstydzona. – Od razu się sobie spodobaliście... Więc czemu tylko jedno spotkanie?

– Chyba wreszcie muszę się wypowiedzieć. – Janey, z miną winowajcy, usiadła naprzeciwko. – Wiesz, gdy spotkaliśmy się przed domem... od razu zauważyłam, że... coś się z wami dzieje...

– Wybacz, ale nie chcę tego słuchać.

– Po przyjściu na górę wyniosłaś się do swojego pokoju... niby

obrażona o to, że Damian przyjął moje zaproszenie... Zaczęliśmy rozmawiać i natychmiast okazało się, że według nas Tony jest dla ciebie nieodpowiedni. Przykro nam było, że nie widzisz, jaki on jest naprawdę i chcesz za niego wyjść. – Wyprostowała się. – Postanowiliśmy jakoś temu zaradzić, nim będzie za późno.

Stephanie z osłupieniem wpatrywała się w przyjaciółkę. Nie chciała przyjąć do wiadomości, że ukartowano randkę, aby wywołać w niej zazdrość. Po chwili upokorzenie przeszło w gniew, więc syknęła zimnym, ironicznym tonem:

– Czyli i tak byście się umówili? No, to przynajmniej ten ciężar spadł mi z serca. Wyrzucałam sobie, że fatalnie się zachowałam, a tymczasem wy mnie oszukaliście i po kryjomu...

– Mieliśmy dobre intencje...

– Co z tego? – Miała oczy pełne łez. – Zdradziła mnie najlepsza przyjaciółka...

Janey puściła zniewagę mimo uszu.

– Podobasz się Damianowi – rzekła zamyślona. – Wiesz, on naprawdę bardzo cię lubi.

Stephanie zerwała się z miejsca, podeszła do okna i stojąc tyłem, rzuciła przez ramię:

– To zwykłe pożądanie, nic więcej. Tylko tyle.

– Nieprawda, dużo więcej.

– Janey! – Gwałtownie się odwróciła. – Już raz się zawiodłam i

jeszcze nie pozbierałam się po rozczarowaniu moim byłym narzeczonym. Nie chcę wplątać się w drugi nieodpowiedni związek... szczególnie z kimś takim.

– Co masz na myśli?

Jej gniew ustąpił miejsca uczuciu bezradności.

– Pragnę stabilizacji. Chcę mieć mały dom z ogródkiem, męża z podbródkiem, dwoje dzieci... taką statystyczną rodzinę. Tylko tyle i aż tyle. Damian otwarcie uprzedza, że drugi raz nie pójdzie do ołtarza. Nawet gdybym była zainteresowana, a nie mówię, że jestem, nigdy bym nie zaczęła chodzić na randki z nim. Po co?

– Ale gdyby się w tobie zakochał, to...

– Janey, czy wiesz, że ten dziwak nie uznaje Bożego Narodzenia? Tylko cud mógłby sprawić, że zmieniłby się w mężczyznę, o jakim marzę. Poza tym zważyłam w swoje zdolności oceniania ludzi. Dobrze wiesz, jak bardzo pomyliłam się co do Tony'ego. Nie, muszę trochę poczekać. Może z czasem nauczę się trzeźwiej patrzeć na ludzi. – Zdobyła się na lekki uśmiech. – Lepiej zmieńmy temat i powiedz mi, kto sprawił, że wróciłaś taka rozmarzona.

Janey zrozumiała, że rozmowa o McAllisterze jest skończona. W miarę, jak opowiadała o sobie, jej oczy znowu rozbłysły niby gwiazdy. Okazało się, że rodzice jednego z podopiecznych zapoznali ją z mężczyzną, w którym zakochała się bez pamięci.

Stephanie cieszyła się, że przyjaciółka jest zadowolona z życia, a nawet szczęśliwa. Później, gdy leżała w łóżku, zastanawiała się, czy McAllister dowiedział się, że zerwała z Tonym. Jeśli tak, powinien był wiedzieć, że jest wolna i zadzwonić. Dziwiła ją własna niekonsekwencja; wmawiała sobie, że nie ma ochoty na spotkanie z nim, a mimo to zastanawiała się, dlaczego milczy.

Pewnego dnia wybrała się do księgarni. Nie znalazła poszukiwanej książki, więc podeszła do ekspedientki, która ze znużoną miną żuła gumę.

– Przejrzałam całą półkę, ale nie widzę „Untimely Graves” Jamesa Westa. Czy na pewno już państwo nie mają? Może znajdzie się jeszcze egzemplarz?

– Muszę sprawdzić. – Młoda kobieta przez kilka chwil tępowym wzrokiem wpatrywała się w monitor. – Przykro mi, ale ta powieść wyszła dawno temu i nie było wznowienia. Wątpię, czy ją pani dostanie. – Spojrzała ponad ramieniem klientki, rozpromieniła się, uśmiechnęła przymilnie i słodko zapytała: – Czym mogę panu służyć?

Zawiedziona Stephanie odwróciła się i niemal zderzyła ze stojącym za nią mężczyzną, który ani drgnął. Uniosła głowę i słowo „przepraszam” zamarło jej na ustach, ponieważ przed nią stał McAllister. Był w sportowym ubraniu, promieniował energią i doskonałym zdrowiem, miał opaloną twarz i błyszczące oczy.

– Słyszałem, że szukasz „Untimely Graves”. Jeśli chcesz, mogę ci pożyczyć mój egzemplarz.

– To ty? Co tu robisz? – zapytała bez tchu.

– Jak to? – Zdziwiony uniósł brew. – Przecież Janey mówiła ci, że to moja ulubiona księgarnia.

– Tak... ale...

– Często tu zaglądam. No więc jak, pożyczyć ci książkę?

– Wtedy u ciebie przeczytałam tylko pięć rozdziałów, a lubię wiedzieć, jak się kryminał kończy...

– Zadzwońię do gospodyni i poproszę, żeby ci przysłała.

– Dziękuję. – Wiedziała, że zachowuje się sztywno, ale nie potrafiła inaczej. – Nie boisz się pożyczać?

– Słyszałem, że przyjaciele dzielą się wszystkim, a gdybyśmy się uparli, moglibyśmy od biedy uchodzić za przyjaciół...

– Sądziłam – przerwała nerwowo – że trudno ci rozstać się z tą książką nawet na krótko. Myślałam, że jesteś do niej bardzo przywiązany.

Po jego twarzy przemknął mroczny cień, lecz tak prędko, że mogło to być złudzenie.

– Jako miłośniczka książek chyba je szanujesz, więc zaryzykuję.

– Przepraszam państwa – ostro powiedziała ekspedientka.

McAllister położył na ladzie powieść Dicka Francisa.

– Naprawdę nie musisz się fatygować – upierała się. – Gdybym chciała tylko przeczytać, mogłabym wypożyczyć z biblioteki, ale tę pragnęłam kupić, bo kolekcjonuję książki Westa. Jeszcze raz dziękuję za propozycję. Do widzenia.

– Poczekaj, aż zapłacę. Zapraszam cię na kawę.

Odwrócił się, a wtedy po prostu uciekła z księgarni. Na przystanku akurat stał autobus; podbiegła i wskoczyła w ostatniej chwili.

Zamyśliła się nad tym, co McAllister powiedział, a mianowicie, że mogliby zostać przyjaciółmi. Dla niej było to niemożliwe. Sama przyjaźń by nie wystarczyła, a trwały związek nie wchodził w grę.

Dziesięć minut później siedziała już w ulubionej kawiarni „Comfort Zone”, spokojnie piła kawę i czytała prasę.

McAllister wziął gazetę pod pachę, zapłacił za kawę i ruszył w stronę odnalezionej zguby. Stephanie wyglądała tak pięknie, że coś chwyciło go za serce. Podobnie reagował zawsze, ilekroć ją widział. Właśnie dlatego od ostatniej rozmowy, gdy tak obcesowo ją potraktował, trzymał się z dala od niej. Gdy jednak zobaczył ją w księgarni, ogarnęło go podniecenie, które zagłuszyło głos rozsądku, nakazujący ostrożność. Chciał pobyc w jej towarzystwie i sądził, że nic mu nie grozi, jeśli pójda do kawiarni i napiją się kawy. Dlatego ją zaprosił, ale ona mu uciekła.

Płacąc za książkę, spojrzął w okno, akurat gdy wskakiwała do autobusu. Przypomnił sobie, co mówiła Janey, a mianowicie, że w każdą niedzielę Tony gra w tenisa, a Stephanie bywa w „Comfort Zone”.

Po wyjściu ze sklepu, wsiadł do samochodu i jadąc bardzo wolno, szukał kawiarni. Znalezienie jej zajęło mu dwadzieścia minut i przez ten czas podniecenie wcale nie zmalowało, wręcz przeciwnie.

Przystanął obok stolika, wpatrzony w Stephanie, zatopioną w lekturze. Czuł zapach perfum, który nieodmiennie przywodził mu na myśl świeży mech, piękne róże, delikatne pocałunki... Przez głowę przelatywały mu czarowne obrazy...

– Dzień dobry. – Niedbałym gestem rzucił gazetę na stolik. – Znowu się spotykamy.

Stephanie uniosła głowę. Na jej twarzy odmalowało się zdumienie i niepokój.

– Co tu robisz? – wykrztusiła przez ściśnięte gardło.

– Moja droga, powtarzasz się, bo o to samo pytałaś mnie w księgarni. – Powiesił marynarkę na oparciu krzesła. – Można?

Usiadł, nie czekając na odpowiedź. Wypił parę łyków kawy, oblizał się, rozłożył gazetę i spokojnie zaczął czytać.

Całkiem oniemiała. Była przekonana, że nie znalazł się w tej samej kawiarni przypadkiem, więc gdy odzyskała mowę, syknęła

z wyrzutem:

– Śledziłeś mnie!

– O co ty mnie posądzasz? – Zrobił niewinną minę. – Gdy wyszedłem z księgarni, po tobie nie było śladu. Nie jestem czarodziejem.

– Może, ale nie wmówisz mi, że to czysty przypadek.

– Ooo? – Uśmiechnął się filuternie. – A ty nie podpowiadaj mi, co mam mówić.

– Jeśli nie śledziłeś mnie i twoja obecność tutaj jest wynikiem przypadku...

– Bardzo szczęśliwego, prawda?

– Teraz ty mi podpowiadasz.

– Przyjemnie tu. Miło jest razem posiedzieć przy kawie w przytulnym lokalu. – W jego oczach pojawiły się przekorne błyski. – Może i ja zacznę tu regularnie bywać.

Z jego słów wywnioskowała, że wie, iż ona przesiaduje w „Comfort Zone”. Jediną osobą, która mogła to zdradzić, była Janey. Ciekawe, czy cały czas byli w zмовie, czy aż tyle zdążyła powiedzieć podczas jednego wieczoru. Czyżby rozmawiali tylko o niej?

– Nie znoszę intruzów – mruknęła ze złością. – A w niedzielę rano najbardziej lubię być sama. Czy tego Janey ci nie mówiła?

– Owszem, powiedziała.

– Więc czemu...

– Prędko można wpaść w rutynę.

– Rutyna to nic złego.

– Zależy jaka. I pod warunkiem, że z drugą osobą... Roześmiał się tak zaraźliwie, że złagodniała i na jej ustach zaigrał ledwo dostrzegalny uśmiech. Nie umiała oprzeć się jego urokowi.

– Poddaję się. – Odłożyła gazetę. – Czego chcesz?

– Oj, niebezpieczne pytanie.

– Każda rozmowa z tobą jest niebezpieczna i przypomina chodzenie po linii nad przepaścią.

– Więc po co pytasz?

– Wobec tego zacznę z innej beczki: dlaczego tu przyszedłeś?

– Chciałem zobaczyć miejsce, w którym chętnie spędzasz niedzielne przedpołudnia.

– Już zobaczyłeś.

– Racja. – Spowaźniał, więc patrzyła na niego wyczekująco. – Wcale mnie nie dziwi, że nie chodzisz do jakiegoś modnego lokalu...

– Bywam również w najmodniejszych.

– Może w ciągu tygodnia. – Zajrzał jej w oczy. – Ale w niedzielę przychodzisz tutaj, bo wtedy ogarnia cię największa tęsknota za rodziną, prawda? Ta kawiarnia jest z dala od wielkomięjskiego gwaru i ma specyficzną atmosferę. Zgadłem?

– Prawie.

Roześmiał się serdecznie, więc jej serce ostatecznie stopniało i zaczęło mocniej bić.

– Nie chcesz się przyznać.

– Ale klócić też nie będę. – Usiłowała opanować się i wyglądać obojętnie. – W domu wszyscy razem chodziliśmy do kościoła. Tu chodzę sama i po nabożeństwie zwykle ogarnia mnie przygnębienie...

– I nostalgia?

– Tak. Kiedyś, gdy błądziłam ulicami bez celu, odkryłam tę kawiarnię. Wydała mi się idealna do zapełnienia pustki. Już poznaję większość bywalców i czuję się trochę jak... jak w domu.

– Zbierało się jej na płacz, więc aby nie mówić o sobie, zapytała:

– Gdzie ty masz rodzinę? W Bostonie?

Twarz mu stężała i odwrócił wzrok.

– Nie – mruknął, wstając. – Kawa ci wystygła, pójdę po świeżą.

Pomyślała, że on znowu zamyka się w sobie. Widocznie uważał, że może wkraczać w jej życie, ale o sobie nie chciał powiedzieć nic bliższego.

– Jedna mi wystarczy. – Wstała i wzięła zakiet, który przewiesiła przez ramię. – Wybacz, ale muszę już iść. Nie śledź mnie i... nie proponuj, że odwieziesz. Lubię chodzić pieszo.

Odeszła, gnębiona wyrzutami sumienia, że być może i jemu

dokucza samotność. Mimo to nie obejrzała się za siebie.

Stephanie została zaproszona na ślub Giny, córki Joyce. Z tej okazji kupiła sobie nową kreację: suknię z zielonego jedwabiu i żakiet w odpowiednim kolorze. Wyglądała uroczo, ale niestety czuła się przygnębiona. Od zerwania z Tonym często wpadała w depresję i nie mogła wrócić do równowagi.

W przeddzień ślubu Joyce powiedziała:

– Giną zadbała o to, żebyś nie musiała jechać autobusem.

– Dziękuję, ale po co tyle kłopotu?

– Żaden kłopot. – Joyce miała niewyraźną minę. – Podwiezie cię szef matki narzeczonego. Podobno jest bardzo miły. I nieżonaty.

Pomyślała, że to wygląda na swatanie. Podejrzliwie spojrzała na Joyce, ale ona patrzyła jej prosto w oczy i niewinnie się uśmiechała.

– O której mam być gotowa?

– O czwartej.

Wyszły przed sklep. Stephanie bezwiednie spojrzała na budynek naprzeciwko i dostrzegła ruch w oknie na drugim piętrze. Nie mogąc się powstrzymać, spojrzała uważniej. Serce ją zabolowało, gdy na tle okna zobaczyła dwie sylwetki: McAllistera i Tiffany Whitney. Stali bardzo blisko siebie. Damian odwrócił się,

jakby wyczuł jej wzrok i ich oczy się spotkały. Stephanie oblała się szkarłatnym rumieńcem i czym prędzej skrzyła w prawo.

Była zła, że spojrzała w jego okna i straciła humor do wieczora. Bezskutecznie usiłowała wyrzucić z pamięci tamtych dwoje, którzy stali tak bardzo blisko siebie, że...

W dniu ślubu punktualnie o czwartej zadzwonił domofon. Gdy podniosła słuchawkę, usłyszała niewyraźny męski głos, mówiący coś, co zabrzmiało jak: Transport.

– Zaraz schodzę – powiedziała szybko. Zastanawiała się, czy Giną uprzedziła swego znajomego, aby nie liczył na to, że będą nierozłączną parą. Wysiadła z windy zdawkowo uśmiechnięta, ale uśmiech zamarł jej na ustach, gdy zobaczyła McAllistera.

– Ty tutaj? – zdołała wykrztusić.

– Tak, mam zabrać cię do kościoła. Pani Joyce nie uprzedziła cię, że ja przyjadę?

– Nie. Powiedziała, że przyjedzie szef matki jej przyszłego zięcia.

– To ja.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami i serce jej biło jak oszalałe.

– Syn mojej sekretarki żeni się z córką twojej współpracownicy. Panie Marjorie i Joyce przyjaźnią się od lat.

Chyba...

– Tyle wiem, ale Joyce nigdy mi nie mówiła, za kogo Giną wychodzi. Zastanawiam się, dlaczego zataiła, kto po mnie przyjedzie. Przecież wie, że się znamy, widziała nas przez okno. Nie rozumiem, czemu...

– Myślę, że to celowa robota – rzucił z nie ukrywaną irytacją. – Pani Sutton nie powiedziała tego wyraźnie, ale z jej słów wywnioskowałem, że wiesz, kto po ciebie przyjedzie. Uduszę ją.

– Co za krwiożerczość! Ja też jestem wściekła na Joyce, ale nie posunę się do morderstwa – rzekła wyniośle. – Czy to aż taka przykrość jechać ze mną do kościoła?

– Przykrość? – Obrzucił ją zachwyconym spojrzeniem i pociemniały mu oczy. – Nie, z całą pewnością nie przykrość. – Wziął ją za rękę. – Czy możesz zdradzić, dlaczego nie jedziesz z narzeczonym?

Jego pytanie świadczyło, że nic nie wie. I zapewne z tego powodu nie zadzwonił ani przed, ani po przypadkowym spotkaniu w księgarni. Serce jej trzepotało się jak ptak w klatce.

– Nie mam narzeczonego, bo kilka tygodni temu rozstaliśmy się. – Poczula, że konwulsyjnie zacisnął palce na jej dłoni. – Byłeś przekonany, że zżera mnie zazdrość, bo spędziłeś wieczór z Janey. Nie dałeś mi dojść do słowa, a gdyby nie to, mogłabym dawno temu wyjaśnić, że zerwałam zaręczyny.

Przystanął i spojrział na nią z ukosa.

– Więc powtórnie rzuciłaś Goulda. Czy tym razem to ostateczne rozstanie?

– Tak.

Przed blokiem usłyszeli radosny śpiew kosa, więc popatrzyli na siebie znacząco. Nie sprzeciwiła się, gdy McAllister objął ją w talii.

– Zakładam, że Joyce wie o rozstaniu.

– Oczywiście.

– Więc i moja sekretarka też, chociaż nic mi nie mówiła. Tak, chcą z nas zrobić parę.

Otworzył drzwi samochodu, lecz zanim wsiadła, położył dłoń na jej ramieniu i szepnął:

– Stephanie?

– Tak?

– Nabrano nas... – Uśmiechnął się uwodzicielsko, a ona zadrżała od stóp do głów. – Mimo to już nie mam do nikogo pretensji, a nawet się cieszę, bo dzień zapowiada się naprawdę cudownie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Stephanie prawie nie zwracała uwagi na piękną i wzruszającą ceremonię ślubną, ponieważ wszystko przyćmiła świadomość, że McAllister siedzi tuż obok w ciasnej ławce. Słowa przysięgi nowożeńców docierały do niej z bardzo daleka.

Na wesele zaproszono gości do stylowej sali bankietowej. McAllister był uprzedzająco grzeczny i oczarował wszystkich, którzy siedzieli przy tym samym stole. Natomiast Stephanie jak zwykle zachowywała się z dystansem, ale w głębi duszy była dumna, że towarzyszy jej przystojny, elegancki mężczyzna. Zanosilo się na to, że wieczór będzie udany, lecz jednak nastąpił niemiły zgrzyt. W pewnym momencie zostali sami i wtedy Damian niepotrzebnie wrócił do tematu zerwanych zaręczyn.

– Czy tym razem nieodwołalnie zwróciłaś Gouldowi pierścionek?

– Tak.

Na wspomnienie sceny, jaka się wtedy rozegrała, wciąż ogarniał ją niesmak. Wolala o tym nie rozmawiać, lecz on jakby nie zauważył jej niechęci.

– Z tego, co wiem, Gould nikomu nie pisał ani słowa i nie przyznał się, że go rzuciłaś. Do mnie zadzwonił któregoś dnia i

powiedział, że się rozmyślił i nie skorzysta z moich usług. Podejrzywałem, że maczałaś w tym palce, bo byłaś wściekła na mnie za randkę z Janey. Sądziłem, że kazałaś mu wziąć innego architekta.

– O co ty mnie posądzasz? – wybuchnęła dotknięta do żywego.

– Obrażasz mnie!

– My rządzą światem, a nami kobiety – rzekł, robiąc perskie oko.

Udała, że nie słyszała jego żartobliwej uwagi, wyżej uniosła głowę i powiedziała urażonym tonem:

– Sam chyba przyznasz, że zachowałeś się niezbyt uprzejmie, bo mnie ostentacyjnie zignorowałeś.

– Masz rację, ale czasami cel uświęca środki.

– Co to miał być za cel?

– Chciałem doprowadzić do tego, żebyś zweryfikowała swoje uczucia i zastanowiła się, czy istotnie kochasz Goulda, gdy... pragniesz mnie.

Powiedział prawdę, lecz nie zamierzała przyznać mu racji, więc rzuciła z ironią:

– Jesteś zarozumiała.

– Może. Ale nie zaprzeczasz temu, co mówię, a ja przyznaję, że czuję to samo w stosunku do ciebie. Od pierwszej chwili. Cokolwiek łączyło cię z Gouldem, na pewno brakowało

najważniejszej iskry...

– Chcesz mi wmówić, że jesteś jasnowidzem?

– Nie. Ale na pewno posiadam zdolność obserwacji. Widziałem was razem w restauracji, pamiętasz? Wasz wzajemny stosunek był, łagodnie mówiąc, mdły.

W tym wypadku też miał rację. Kontakty z Tonym były i mdłe, i nudne, co sobie uświadomiła, gdy poznała McAllistera. Wystarczyło jedno spojrzenie na niego, a krew zaczynała żywiej krążyć i serce mocniej bić.

– Całe szczęście, że się wycofałaś. Kiedy dowiedziałaś się, że zjazd u Whitneyów odwołano z powodu pożaru? Nie posądzałem Goulda o aż taki tupet. Podczas wizyty na parceli powiedziałaś, że jednak w święta byliście razem. On zmienił plany, bo chciał spędzić Boże Narodzenie z tobą. Gdy to usłyszałem...

Zrobiło się jej niedobrze.

– Znałeś prawdę? Wcześniej się dowiedziałeś?

– Owszem. – Niedbale machnął ręką. – Pani Whitney zadzwoniła pod koniec grudnia, prosząc o to, żebym zaprojektował nowy dom. Przy okazji dowiedziałem się wszystkiego. Tego, że z powodu śmierci kuzynki musiałaś zrezygnować z przyjazdu do nich i że Gould był już na lotnisku, gdy go wreszcie złapała i powiedziała, że dom spłonął. Oczywiście wiedziałem...

Nie znosiła kłamstw, więc to, co usłyszała, przyprawiło ją niemal o mdłości. Tony uśmiercił jej kuzynkę, byle nie powiedzieć prawdy, a McAllister od dawna o tych kręctwach wiedział.

Zerwała się i spojrzała na niego z góry. Cała dygotała i miała wrażenie, że spali się ze wstydu i upokorzenia.

– Wiedziałaś! – powtórzyła drżącym głosem. – I nic nie powiedziałaś. Na pewno za plecami naśmiewałaś się ze mnie, że jestem taką łatwowierną gęsią. W księgarni mówiłaś, że moglibyśmy się zaprzyjaźnić...

Wstał i pojednawczym gestem wyciągnął dłoń.

– Steph, ja...

– Przyjaźń! – syknęła, odpychając jego rękę. – Powiem panu, jak ja wyobrażam sobie przyjaźń. Otóż według mnie prawdziwi przyjaciele nie kłamią, nie udają, nie maskują się.

– Piekły ją oczy, więc prędko zamrugała. – Jest pan ostatnim człowiekiem, którego chciałabym mieć...

– Milczałem, bo nie wypadało mi mówić – rzekł głucho.

– Wcale się z ciebie nie śmiałem i według mnie nie jesteś gęsią. Ale jeśli posądzasz mnie o takie rzeczy, to tym samym dajesz dowód głupoty.

– Nie wiem, jaki jesteś – mruknęła – bo nie chcesz nic o sobie powiedzieć, jakby to była tajemnica.

– Uspokój się. Wiem, że ostatnio miałaś przykre przeżycia, ale...

To samo mówił Tony, który też radził jej, by się uspokoiła i nie robiła scen, ale wtedy było jej wszystko jedno, jak się zachowuje.

– Zostaw mnie – poprosiła żałośnie. – Chcę być sama.

Patrzył na nią ze współczuciem i na pewno umiałby pocieszyć. Pragnęła rzucić mu się w ramiona, lecz niestety duma na to nie pozwoliła.

Przez kilka sekund patrzyli na siebie rozognionym wzrokiem, a potem McAllister odwrócił się i powoli odszedł. Zdążył jednak powiedzieć coś, co niby nóż wbiło się jej w serce.

– Dobrze, ale pierwszy krok do zgody ty musisz zrobić.

. Od tej chwili trzymał się z dala od niej. Nawet gdy zagrała orkiestra i rozpoczęły się tańce. Stephanie miała powodzenie, nie brakowało jej partnerów, więc bez przerwy tańczyła. Rozpacz ukryła pod pozorem wesołości i w oczach postronnego obserwatora na pewno wyglądała, jakby doskonale się bawiła. Uśmiechała się przez cały wieczór, chociaż w miarę upływu godzin przychodziło jej to z coraz większą trudnością.

Tuż po północy wyszła do toalety, aby odświeżyć twarz zimną wodą. Po powrocie usiadła przy stole i ukradkiem spojrzała na parkiet. W tej samej chwili podeszła Joyce, która zauważyła niespokojne spojrzenie i nieomylnie je odczytała.

– Jest tam – powiedziała wesoło. – Tańczy z Amy, siostrą Giny, dwunastoletnim dzieckiem. Marjorie ma rację, że on jest niezwykły. Który mężczyzna zwróciłby uwagę, że to nieśmiałe stworzenie jest nieszczęśliwe, bo sieje pietruszkę? Który by się poświęcił i zaprosił do tańca?

Stephanie ułożyła usta na kształt uśmiechu.

– Zanim wyszłam, widziałam, że próbuje z nią rozmawiać. Amy chowała się za panią Sutton i miała taką minę, jakby chciała, żeby ziemia się pod nią rozstała.

Teraz dziewczynka widocznie zapomniała o nieśmiałości. Miała błyszczące oczy i zaróżowione policzki i dzielnie dotrzymywała kroku swemu wysokiemu partnerowi.

– To miły człowiek – rzekła Joyce. – Wyjątkowo miły. Stephanie popatrzyła na niego innymi oczami i musiała przyznać, że istotnie jest bardzo miły. Posmutniała, gdy uświadomiła sobie, że tym razem rzeczywiście głupio się zachowała. Nie rozumiała, dlaczego nie posłuchała jego rady i się nie uspokoiła. Powinna była spojrzeć na tamto zajście z jego punktu widzenia. Postępował w dobrej wierze, ponieważ widocznie zależało mu na niej.

Wyjęła chusteczkę i ukradkiem otarła łzy. Żałowała, że niepotrzebnie uniosła się honorem i zepsuła piękny wieczór. Zastanawiała się, czy starczy jej odwagi, by podejść do McAllistera i przeprosić. Wystraszyła się, że jest za późno. Mógł

znaleźć sympatyczniejsze towarzystwo, gdy ona udawała, że doskonale się bawi.

Orkiestra przestała grać, więc parkiet opustoszał. Stephanie zauważyła, że Amy siedzi z rodzicami. A McAllister? Czyżby odjechał? Zaniepokojona chciała biec za nim, ale poczuła, że ktoś położył rękę jej na ramieniu. Nie musiała się oglądać, aby wiedzieć, kto za nią stoi.

– Stephanie?

Miał skupiony wyraz twarzy i nerwowym ruchem przeczesywał włosy. Gdy orkiestra znowu zagrała, wyciągnął rękę i uśmiechnął się, więc ciężar spadł jej z serca.

– Przepraszam cię – szepnęła, wstając. – Bardzo mi przykro.

– Wiem.

Poprowadził ją na parkiet i mocno objął. Zrozumiała, że jej wybaczył i że nigdy nie była równie szczęśliwa.

McAllister cieszył się, że nareszcie trzyma w ramionach kobietę swych marzeń. Sprawiało mu to przyjemność graniczącą z bólem, lecz taki ból człowiek znosi z przyjemnością.

Przez cały wieczór cierpiał katusze, ale uparcie trzymał się jak najdalej od Stephanie. Postanowił wytrwać do końca, lecz gdy zauważył, że ociera łzy, jego gniew ulotnił się. Wiedział, że oboje są dumni, a w tym wypadku duma przeszkadzała. Według niego

gra nie była warta świeczki, więc nie czekał, aż Stephanie pierwsza się odezwie.

Zapach delikatnych perfum i muśnięcie jej piersi natychmiast zwiększyły jego podniecenie. Nachodziły go coraz śmielsze myśli i ledwo nad sobą panował. Nagle z piersi wyrwał mu się głuchy jęk.

Stephanie odsunęła się i uniosła głowę. Jej wielkie, błyszczące oczy były pełne niepokoju.

– Nadepnęłam ci na nogę? – zapytała speszona.

– Nie.

– Wystraszyłam się, że przeze mnie tak jęczysz.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Mam metalowe obcasy i...

– To nie to.

– Więc dlaczego jęknąłeś, jakbyś przeżywał...

– Męki?

– A przeżywasz?

– Straszliwe.

– Co ci jest?

– Taki... problem... hm... osobisty.

– Coś, o czym wolisz nie mówić?

Akurat tańczyli za filarem, więc z premedytacją wykorzystał sprzyjającą okoliczność. Jeszcze mocniej przytulił Stephanie, a

ona uniosła i przechyliła głowę, ukazując długą, białą szyję. Pomyślał, że jest bardzo piękną kobietą, którą powinno się namalować. Wiedział, że jeśli znowu weźmie pędzel do ręki, wykona jej portret lub namaluje całą postać.

– Wpatrujesz się w moją szyję wzrokiem wampira. – W jej oczach pojawiły się przekorne chochliki. – Podejrzewam, że chcesz zaciągnąć mnie do ciemnego kąta i wyssać krew.

– O pani, mylisz się. – Uniósł jej dłoń do ust. – Nie jestem wampirem, ale przyznaję się – głos mu zmatowiał – że myślałem o tym, żeby zaciągnąć cię tam, gdzie nikt by nas nie widział.

Zaskoczyło go, że spłonęła rumieńcem. Wiedział, że była związana z Gouldem przez co najmniej pół roku, a według niego tak długa znajomość nie mogła być niewinna.

– Chyba czas wracać – szepnął. – Pojedziemy do mnie, wypijemy kawę lub strzemiennego...

Pocałował Stephanie za uchem i poczuł, że przebiegł ją dreszcz, a gdy pieszczotliwym gestem pogładził po plecach, zadrżała lekko, prawie niedostrzegalnie i może dlatego jej wrażliwość poruszyła najczulszą strunę w jego duszy. Ogarnęły go uczucia, jakich nigdy dotąd nie zaznał.

Jeszcze przed chwilą pragnął spędzić noc z tą subtelnie uwodzicielską istotą, lecz nagle pożądanie zniknęło pod wpływem rodzącej się czułości i zapomnianej rycerskości.

Od nadmiaru sprzecznych uczuć zakręciło mu się w głowie. Od samego początku wiedział, że wystarczy, aby jeden raz pocałował tę czarującą kobietę, a przypadnie z kretesem. Nie podejrzewał jednak, że i bez pocałunku śliczna czarodziejka zawładnie jego sercem.

Serce! Ogarnęła go panika i skulił się w sobie. Musiał zyskać na czasie, by pomyśleć, zastanowić się. Potrzebował czasu, aby zebrać siły do walki z niepokojącym biegiem wypadków.

– Dobrze. – Przytuliła policzek do jego piersi. – Ciekawa jestem, jak mieszkasz. Możemy jechać zaraz...

Westchnęła rozmarzona. McAllister pamiętał, że wypila parę kieliszków wina, a widocznie nie była przyzwyczajona do alkoholu. Tuliła się ufnie i położyła mu rękę na sercu, a wtedy ogarnęło go silne pożądanie, które walczyło o lepsze z czułością i rycerskością. Zaciskając zęby, postanowił, że za wszelką cenę się opanuje.

– Widzę, że chce ci się spać – rzekł głosem, którego sam nie poznał. – Nie wolisz jechać prosto do domu? Moje mieszkanie poczeka, obejrzysz je kiedy indziej.

Przecząco pokręciła głową.

– Jesteś pewna? – wykrztusił przez ściśnięte gardło.

– Tak. – Zarzuciła mu ręce na szyję. – Jestem najzupełniej pewna.

Teraz nie mógł sobie darować, że z własnej winy znalazł się w sytuacji prawie bez wyjścia. Pogaszono większość świateł i orkiestra zagrała jakąś tęskną, miłosną melodię. W takiej oprawie nawet on poczuł się jak rozmarzony młokos. Opanował się najwyższym wysiłkiem woli, mimo że Stephanie tuliła się do niego i obejmowała.

Gdy muzyka umilkła, odsunął się i rozplótł jej ręce. Patrząc na nią, uśmiechnął z przymusem, lecz ona tego nie zauważyła.

– A więc jedziemy do mnie – rzekł obojętnym głosem.

Sądziła, że napiją się wina, a tymczasem McAllister stanowczo obstawał przy kawie. Nie upierała się, ponieważ pamiętała, że wypila więcej wina niż zwykle, co niewątpliwie przyczyniło się do podniecenia, jakie ją ogarnęło. Myślała, że ochłonie, gdy opuszczą salę, a tymczasem podniecenie wzrosło. Serce jej mocno biło, czuła się lekka, jak gdyby stąpała po chmurach.

Zdawała sobie sprawę z tego, że godząc się na zakończenie wieczoru w mieszkaniu Damiana, pośrednio zdradziła swe uczucia, lecz nie potrafiła mu się oprzeć. Wszelkie obiekcje zagłuszyło pożądanie, narastające od pierwszych taktów wspólnego tańca.

Przebiegł ją dreszcz, więc oparła czoło o chłodną szybę. Stała przy olbrzymim oknie, stanowiącym właściwie ścianę ze szkła, i

niewidzącym wzrokiem patrzyła na nocną panoramę miasta.

– Stephanie?

Przyniósł fajansowe filiżanki z kawą. Był bez marynarki i krawata, w koszuli rozpiętej pod szyją.

– Och, jaka niespodzianka.

– Co? Kawa?

– Nie tylko.

Postawił filiżanki na marmurowym stoliku koło kominka. Gdy się odwrócił, Stephanie stała tuż za nim, a jej oczy wyraźnie mówiły, czego pragnie. Nerwowo drgnęła mu grdyka i kierując się w stronę kuchni, nieswoim głosem spytał:

– Jaką lubisz? Z cukrem czy ze śmietanką?

– Czarną i gorzką.

– Ja... tego... przyniosę cukier.

Zwyczajnie uciekł z pokoju, ponieważ bał się siebie i chciał być daleko od Stephanie. W kuchni otworzył pierwszą z brzegu szafkę i trzęsącą się ręką szukał cukru, który wcale nie był mu potrzebny.

– Po co szukasz? Przecież lubisz gorzką. – Stephanie stała na progu bosa i uwodzicielsko uśmiechnięta. – Wiem, że pijesz tylko ze śmietanką.

– Masz rację. Na ogół... bez cukru... Ale czasami... a szczególnie wieczorem... gdy czuję się... no, można powiedzieć. ..

niespokojny... wtedy biorę cukier... żeby... no, żeby dodać sobie... energii.

Wstyd mu było, że gada trzy po trzy. Stephanie podeszła z nieopisanym wdziękiem i zamknęła szafkę.

– Jestem pewna, że energii masz dość, więc nie rób komedii – rzekła miękko.

Odsunęła loki opadające na twarz, stanęła na palcach i spojrzała na niego pociemniałymi oczami. Oczywiście doskonale rozumiał, o co jej chodzi i jeszcze nigdy tak bardzo nie pragnął żadnej kobiety. Chciał porwać ją w ramiona i obsypać pocałunkami, zanieść do łóżka, przez całą noc kochać i pieścić.

Mimo to głośno ziewnął. Szeroko i sztucznie, ale miał nadzieję, że Stephanie przyjmie to za dobrą monetę.

– Och, przepraszam. – Zrobił przesadnie zawstydzoną minę. – Po tyłu tańcach bolą mnie wszystkie gnaty, więc czas zakończyć wieczór. Wybacz mi, ale jeśli natychmiast cię nie odwiozę, usnę na stojąco.

Na wszelki wypadek przymknął powieki. Wolał, aby nie dostrzegła, że ma oczy rozpalone pożądaniem.

Zaskoczył ją tak bardzo, że długo wpatrywała się w niego nieprzytomnym wzrokiem, nic nie pojmując. Wreszcie jednak zrozumiała, że ją odtrąca, chociaż niemal rzuciła mu się w ramiona. Przyjechała święcie przekonana, że zaprosił ją w

jednym, określonym celu, a na miejscu okazało się, że mylnie odczytała zaproszenie.

Ze wstydu spiekła raka, czym prędzej wyszła z kuchni, niezdarnie włożyła buty i, dumnie się prostując, spojrzała na McAllistera.

– Skoro jesteś taki zmęczony – rzekła pogardliwie, krzywiąc usta – pojedę taksówką.

Zignorowała jego próby sprzeciwu. Rozejrzała się, zauważyła telefon na stoliku koło drzwi i bez pytania wykręciła numer.

– Jaki jest twój adres? – sucho rzuciła przez ramię.

– Nie wygłupiaj się, ja...

– Dobry wieczór – powiedziała do telefonu i zakrywając słuchawkę, syknęła: – No?

Wzruszył ramionami i podał adres.

Odłożyła słuchawkę i z pewnością siebie, która dużo ją kosztowała, podeszła do stolika koło kominka i wzięła filiżankę.

– Trudno powiedzieć, żebyś był gościnnym i serdecznym gospodarzem, ale kawę zrobiłeś dobrą – rzekła zimno.

Zmusiła się, by na niego spojrzeć, i ogarnęło ją współczucie. Miał ten sam bolesny wyraz twarzy, jaki zauważyła podczas tańca. Wtedy zbył jej pytanie żartem i nie powiedział, co mu dolega. Czyżby nadał źle się czuł i dlatego chciał się pożegnać? Zmartwiła się.

– Co ci jest? – zapytała łagodnie. – To chyba coś więcej niż zmęczenie. Wyglądasz... masz taką minę, jakby cię coś bardzo bolało...

– Drobiazg. – Skonsternowany uśmiechnął się blado i przestąpił z nogi na nogę. – To taka... hm... przypadłość – chrząknął zawstydzony – która nachodzi mnie czasami... Przejdzie, jeśli się porządnie wyśpię.

– Czy mogłabym ci jakoś pomóc?

Przełknął z trudem, jakby coś mu stało w gardle.

– Nie, dziękuję. – Otarł pot z czoła. – Nic nie możesz zrobić.

– Jesteś pewien? Bo chętnie zostanę do rana, jeśli na coś się przydam...

Zadzwoił domofon.

– Taksówka po ciebie. – Podeszedł i wykonał taki ruch, jakby chciał ją objąć, lecz w ostatniej chwili się powstrzymał.

– Odprowadzę cię na dół.

Jazda windą trwała minutę. Stephanie spojrzała na McAllistera z prawdziwą troską w oczach.

– Przykro mi, że marnie się czujesz.

– Nic mi nie będzie – rzekł schrypniętym głosem. – Nie ma czym się przejmować.

Przed blokiem stał biały samochód, z którego dobiegała znana, ludowa piosenka o miłości. Stephanie nadal była podniecona,

miała ochotę wrócić do mieszkania Damiana i spędzić tam całą noc. Nie wierzyła w to, że brak mu energii, zresztą sama miała jej za dwoje.

– Spij dobrze – szepnęła czule.

Powoli odwróciła się, lecz nawet nie zrobiła kroku, ponieważ McAllister nagle ją objął. Przez kilka sekund wpatrywał się w nią, a potem pocałował, zachłannie i namiętnie. Poddała się całkowicie bezwolna, a jednocześnie zachwycona tym, że wcale nie brakuje mu energii. Oboje drżeli, a pod nią ugiwały się kolana. Wreszcie on opanował się i odsunął.

– Jedź już – wykrztusił ochryple. – A na przyszłość, błagam, nie używaj tych perfum. Przynajmniej nie wtedy, gdy spotykasz się ze mną.

Pocałował ją w czoło, wziął pod rękę i podprowadził do taksówki.

– Myślałam – zaczęła drżącym głosem – że nie chcesz...

– Och, chcę. Nie masz pojęcia, jak bardzo cię pragnę. Teraz wiesz, kto odpowiada za moje cierpienia przez cały wieczór – wyrzucił jednym tchem. – Ale pragnienia i... uleganie im to dwie różne rzeczy. Ty, mój aniele, zasługujesz na więcej, niż ja chcę... czy mogę dać. Marzę o tym, żeby wziąć to, co oferujesz, ale trzeba dać coś w zamian, prawda? A mnie na to nie stać, przynajmniej na razie.

Pomógł jej wsiąść, zapłacił za kurs i nisko się uklonił. Stephanie niewidzącym wzrokiem patrzyła przed siebie.

A zatem nie pomyliła się i McAllister jej pragnie. Nie odrzucił jej, ale nie chciał z nikim się wiązać. Po jej policzkach stoczyły się dwie wielkie łzy. Miała do niego trochę pretensji o skrupuły, ponieważ zaczęła cierpieć podobnie jak on.

W domu natychmiast wzięła prysznic. Po pięciu minutach polewania się zimną wodą poczuła, że wraca jej zdrowy rozsądek i dopiero wtedy ze zgrozą uświadomiła sobie, co chciała zrobić. Przerażona krzyknęła tak głośno, że obudziła Janey.

– Steph, co ci jest?

– Nic, nic. Przepraszam.

Dygotała na całym ciele nie tylko z powodu zimnej wody. Zatrzęsa się, gdy wyobraziła sobie, jak wieczór mógł się zakończyć. Gdyby McAllister nie okazał się dżentelmenem, byłaby popełniła niewybaczalny błąd. Za bardzo roztkliwiło ją szczęście młodej pary, muzyka, wino i... czar partnera.

Wiedziała, że gdyby zostali kochankami, musiałyby pożegnać się ze swymi najskrytszymi marzeniami. Jedna noc z McAllisterem nie mogła jej wystarczyć, chciała od niego znacznie więcej.

Przez resztę tygodnia starała się nie myśleć o tym, co mogło się

zdarzyć. W ciągu dnia po prostu nie miała czasu, ponieważ Joyce wzięła urlop, a sklep stale był pełen klientów. W związku z tym pracowała bez wytchnienia. Niestety, wieczorami ogarniało ją przygnębienie i rozpamiętywała wciąż jedno i to samo. Nie umiała pozbyć się myśli o McAllisterze i nawet we śnie nie znajdowała ukojenia, ponieważ śnił się jej co noc.

Przez miesiąc nie widziała go nawet z daleka. Pewnego dnia w połowie kwietnia Joyce ni stąd, ni zowąd powiedziała:

– Marjorie mówiła mi, że panna Whitney ostatnio jest z czegoś bardzo zadowolona. Może z tego, że pan McAllister spędził Wielkanoc w Aspen.

Serce Stephanie przeszły dotkliwy ból.

– Doprawdy? – spytała obojętnie i zajęła się przekładaniem zabawek na półce. – Podobno jest tam ładnie.

– Żal mi go. – Joyce westchnęła. – Ktoś powinien coś z tym fantem zrobić.

– Z jakim fantem?

– Należałoby znaleźć mu odpowiednią żonę. Tiffany nie jest w stanie nawiązać prawdziwego kontaktu z żadnym człowiekiem, bo kocha tylko jedną osobę – siebie. Nie takiej kobiety potrzebuje pan McAllister. Według Marjorie jej szef ostatnio chyba stracił głowę i nie wie, co robi.

Dzwonek przy drzwiach wybawił Stephanie z kłopotu i nie

musiała komentować tego, co usłyszała. Odwróciła się w stronę klienta i drgnęła niespokojnie.

– Tony? – Powoli odłożyła kota z filcu. – Co... czym mogę ci służyć?

– Przepraszam – szepnęła Joyce i wyszła na zaplecze. Tony bez wstępu wyłuszczył sprawę.

– Mam zamiar sprzedać ten budynek i uważałem, że lepiej powiedzieć ci o tym teraz niż pod koniec miesiąca, gdy upłynie termin dzierżawy.

Chciała coś powiedzieć, lecz nie dał jej dojść do słowa.

– Mam kupca, który chce wziąć całość i jest mi to bardzo na rękę, ale zdaję sobie sprawę, że dla ciebie to klęska.

Trudno ci będzie znaleźć lokal w pobliżu. O ile wiem, przy tej ulicy nie ma nic wolnego. Ale jeszcze możemy sprawę przedyskutować. Co ci jest? Dlaczego tak zbladłaś?

Czuła się tak, jakby cała krew z niej uszła. Tony znowu nie dotrzymał słowa. W grudniu twierdził, że zatrzyma budynek na stałe i przedłużą umowę o najem, a teraz nagle zmienił zdanie.

– Chodźmy na kolację – ciągnął przymilnie. – Co dwie głowy, to nie jedna i na pewno znajdziemy rozwiązanie korzystne dla obu stron. Oczywiście, gdybyśmy byli zaręczeni, taka sytuacja nie miałaby miejsca. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć?

Patrzyła na niego przerażona. Dawał jej do wyboru albo

małżeństwo, albo wyprowadzkę. To szantaż.

– Niestety nic nie rozumiem. – Zrobiła zdziwioną minę. – Bądź łaskaw wyrażać się jaśniej.

Zbliżył się i położył ręce na jej ramionach.

– Cholera, nie udawaj głupszej, niż jesteś! Bezskutecznie usiłowała się odsunąć.

– Czyli nie dajesz mi żadnego... wyboru i muszę się przenieść...

Przerwał jej pocałunkiem, który tak ją zaskoczył, że przez moment zamarła. Potem ogarnęła ją złość, ale przypomniała sobie, jakim ciosem można unieszkodliwić napastnika. Uderzyła Tony'ego mocno, więc odskoczył z jękiem i się skulił.

– Ty... ! – Z wściekłości miał pianę na ustach. – Wynocha stąd natychmiast! Jeśli do końca miesiąca nie usuniesz mi się z oczu, podam cię do sądu.

Stephanie miała oczy pełne łez, ale rzuciła z groźbą w głosie:

– Ty się wynoś! Ja też mogę podać cię do sądu, za napaść!

Wychodząc, Tony trzasnął drzwiami tak mocno, że z najbliższej półki spadło kilka zabawek.

Krzyki zwabiły Joyce, która objęła Stephanie i pogłaskała ją po głowie, jakby była małym dzieckiem.

– Kochana, uspokój się. Chodźmy na zaplecze, zaparzę mocną herbatę.

– Słyszałaś, co powiedział? – spytała rozdygotana Stephanie. –

Musimy wyprowadzić się przed końcem miesiąca.

– Słyszałam. Głowa do góry, nie martw się na zapas. Jutro damy ogłoszenie i na pewno coś znajdziemy.

– Nie – szepnęła, przymykając oczy. – Dziękuję ci, ale nie warto. Sprzykrzył mi się Boston, a jeszcze bardziej tutejsi mężczyźni. Wracam do domu.

– Do Rockfield?

– Tak. – Uśmiechnęła się krzywo. – To okropna ironia losu, bo wyjechałam stamtąd w poszukiwaniu urozmaicenia. Moje rodzinne miasteczko wydawało mi się za mało interesujące... Teraz urozmaicenia mam po dziurki w nosie i pociąga mnie spokój, zwyczajność. Może dasz się namówić i pojedziesz ze mną? Tak dobrze nam się pracuje.

– Dziękuję, ale cała moja rodzina jest tutaj. Poza tym Giną chce wrócić do pracy na pełnym etacie i już podpytywała, czy może na mnie liczyć, że zajmę się dzieckiem, jak się urodzi. To jeszcze muzyka przyszłości, ale już chciałam z tobą pomówić o tym... Dotąd jakoś nie było okazji...

– Czyli sprawa załatwiona! Ty zajmiesz się powiększoną rodziną, a ja wrócę na łono rodziny.

Niby ucieszyła ją perspektywa powrotu do Rockfield, a mimo to czuła się bardzo przygnębiona.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

We wtorek po Wielkanocy od rana zabrała się do zdejmowania z wystawy świątecznej dekoracji. Była zadowolona z siebie, gdy się przekonała, że potrafi to robić bez zerkania na okna McAllistera.

Zdażyła zapakować część ozdób, gdy Joyce przytaszczyła olbrzymie pudło z napisem Dzień Matki. Na ten widok zaboląo ją serce.

– Proszę cię zanieś je z powrotem. – Odwróciła głowę, aby Joyce nie zauważyła łez. – Zapomniałaś, że w Dniu Matki już nas tu nie będzie?

– Pamiętam, ale dopiero połowa kwietnia, a poprzednio zawsze w tym czasie przypominałyśmy o nadchodzącym święcie. Dekoracja z tej okazji bardzo się podobała i przysparzała klientów.

– Teraz to próżna fatyga – powiedziała Stephanie, unikając wzroku Joyce – bo skomponowanie wystawy zajmuje mi co najmniej pół dnia. Szkoda tracić tyle czasu na coś, co za kilka dni usuniemy i zamiast tego, lepiej zająć się pakowaniem zabawek z zaplecza. Im mniej teraz będzie klientów, tym szybciej się ze wszystkim uporamy. Chyba przyznasz mi rację?

– Oczywiście, moja droga. Zrobię, jak każesz. Już odnoszę pudło i zaczynam opróżniać półki.

– A ja pójdę do Pickwaya i przyniosę, co mi dadzą, bo potrzebujemy dużo kartonów. Ale najpierw to usunę. – Po skończeniu pakowania, zawołała: – Wychodzę! Powinnam wrócić za kwadrans.

Pogoda zrobiła się prawdziwie wiosenna; niebo było bezchmurne, błękitne, a lekkie powiewy wiatru niosły z klombu zapach hiacyntów. Stephanie zauważyła roześmianą, zakochaną parę i z niesmakiem pomyślała o Tonym. Nie mogła sobie darować, że tak długo była zaślepiona i nie poznała jego prawdziwego charakteru. Teraz uważała, że jest okropny, szczególnie w porównaniu z Damianem McAllisterem, który na pewno też miał wady, któż jest od nich wolny, ale był człowiekiem honoru, mogłaby go szanować i...

– Stephanie!

To jego głos! Myśląc, że się przesłyszała, powoli odwróciła głowę, aby sprawdzić, kto woła. Jednak McAllister! Stał tuż za nią zasapany, jakby biegł. Czyżby ją gonił?

Na jego widok serce podskoczyło jej z radości i zaczęło bić jak oszalałe.

– O, dzień dobry – powiedziała bez tchu, jakby sama też biegła.

– Jak się czujesz?

Pytanie było retoryczne, ponieważ wyglądał jak okaz zdrowia. Miał na sobie niebieską koszulę w kolorze jego oczu i marynarkę czarną jak jego włosy.

– Doskonale, dziękuję. – Patrzył na nią bacznie, z troską. – A ty? Wyglądasz jakoś... inaczej.

Wystarczyło jedno spojrzenie na niego, a traciła kontrolę nad sobą i robiło się jej rozkosznie słabo. Drżącą ręką odgarnęła kosmyki włosów, opadające na czoło.

– Może z powodu fryzury? Powinnam skrócić włosy, ale nie mam czasu iść do fryzjera.

– Nie, to nie to. Włosy masz takie, jak zapamiętałem. Są przepiękne. – Nie mogąc się opanować, dotknął loków za uchem. – Czysty jedwab.

– Hm... – Chrząknęła zażenowana. – Patrz, mamy zielone światło.

– Mnie się nie spieszy, a tobie?

Pomyślała, że przy nim nigdy się jej nie spieszy. Mogłaby tak sto lat stać, patrząc na niego i marząc o tym, że weźmie ją w ramiona i pocałuje.

– Trochę – bąknęła niewyraźnie.

– Szkoda. Moglibyśmy wstąpić do kawiarni.

– Byłoby mi miło.

Aby innym zejść z drogi, przysunął się tak blisko, że Stephanie

zakręciło się w głowie.

– Słyszałam, że spędziłeś Wielkanoc w Aspen.

– Whitneyowie zaprosili mnie do siebie, bo pierwszy etap budowy domu jest już zakończony.

– I już można tam mieszkać?

– Nie, ale wynajęli chatę w pobliżu. Pan Whitney wierzy, że pańskie oko konia tuczy, więc stara się jak najczęściej być na miejscu. Ale nie sędzę, żeby wystąpiły jakieś kłopoty, bo zatrudnił doskonałych fachowców.

– A... Tiffany... też tam była? – wyrwało się Stephanie.

– Bez niej nic się nie obędzie. – Błysnął zębami w szerokim uśmiechu. – Jest wszędobylska i zawsze we wszystkim macza palce.

– Podobno.

Wyobraziła sobie, jak tych dwoje brawurowo zjeżdża po stoku najtrudniejszą trasą. Potem wracają do domu, są tylko we dwoje i... Ogarnęła ją taka zazdrość, że gdyby to było w jej mocy, zesłałaby lawinę na niewinne Aspen. Zawstydzona otrząsnęła się z wrogich myśli i uprzejmie powiedziała:

– Cieszy mnie, że dobrze się bawiliście.

– To Tiffany się bawiła. – W jego oczach błysnęło rozbawienie.

– Spotkała tam niejakiego Giovanniego Cabida, może słyszałaś o tym włoskim milionerze i uwodzicielu? Poznali się pierwszego

dnia i przez cały czas gruchali jak dwa gołąbki.

Stephanie zalała falą szalonej radości. Ulżyło jej, że McAllister nie jest związany z tą piękną blondynką, ale pomyślała z goryczą, że to i tak nic nie zmieni.

– Jakoś nie jest ci przykro, że cię rzuciła.

– Rzuciła? Mnie?

– Przecież byliście nierozłączną parą. Ostatnio wszędzie jej towarzyszyłeś, prawda?

– Zdajesz się sugerować, że byliśmy... kochankami.

– A było inaczej?

– Całkiem inaczej, moja droga. Jej ojciec bardzo pomógł mi po studiach, gdy miałem trudności z pracą. Tonąłem w długach po uszy i wyglądało na to, że nigdy się z nich nie wygrzebię. Mark Whitney poratował mnie, bo najpierw zlecił zaprojektowanie swoich biur w Cambridge, a potem rozgłosił wśród znajomych, że dobrze się zapowiadam. Ogromnie dużo mu zawdzięczam i jeśli mogę spłacić dług również w ten sposób, że czasem towarzyszę jego córce, chętnie to robię. Zresztą Tiff zna moje zasady.

– Jakie?

Niedwuznacznie spojrzał na jej usta.

– Na przykład, że małżeństwo nie wchodzi w grę. A nawet gdybym chciał się ożenić...

Domyśliła się, że uważa Tiffany za nieodpowiednią kandydatkę

na żonę, lecz jest zbyt dobrze wychowany, aby coś takiego powiedzieć o córce bliskich znajomych.

Jego dyskrecja była jednym z wielu powodów, dla których tak ją pociągał. Podobał się jej z wyglądu i z charakteru. Lecz w przeciwieństwie do Tiffany, nie umiała zadowolić się częstką, pragnęła całego człowieka. Mimo że z tego powodu przeżywała udramę.

– Ojej! – Spojrzała na zegarek i zrobiła wystraszoną minę. – Coś mi się przypomniało i muszę wrócić do sklepu. – Uśmiechnęła się przepraszająco. – Miło mi, że się spotkaliśmy.

– Naprawdę musisz iść?

– Tak.

Wiedziała, że on nie zdaje sobie sprawy z tego, co ich rozstanie znaczy. Nie podejrzewał, że niedługo odejdzie definitywnie i daleko. Ciekawa była, czy jej decyzja choć trochę go zasmuci.

– Do zobaczenia.

– Do widzenia.

Zawróciła i starała się iść równym, pewnym krokiem. Nie chciała sprawiać wrażenia, że ucieka, a przecież uciekała przed nim. Mimo palącej ciekawości nie odwróciła się, by zobaczyć, czy on nadal stoi. Podejrzewała jednak, że patrzy w ślad za nią.

Gdy weszła do sklepu, Joyce wyjrzała z zaplecza.

– Myślałam, że to klient. Co to, nie dali ci ani jednego kartonu?

– Nie doszłam do nich, bo... postanowiłam zadzwonić i poprosić, żeby przywieźli.

Wyrzucała sobie, że wcześniej nie przyszło jej to do głowy. Żałowała, że natknęła się na McAllistera i na nowo ożyły uczucia z nim związane. Bez spotkania łatwiej byłoby go zapomnieć.

Była zadowolona, że niebawem wyjedzie do Rockfield i miała nadzieję, że w domu, wśród rodziny, prędzej o nim zapomni.

– Pani Sutton!

Sekretarka odstawiła jogurt brzoskwiniowy, bez pośpiechu wstała, poprawiła fryzurę i poszła do gabinetu szefa.

– Słucham? McAllister stał przy oknie.

– Proszę podejść bliżej. Niech pani spojrzy. – Wskazał ręką. – Co tu się zmieniło?

Sekretarka popatrzyła uważnie w prawo i w lewo. Według niej ulica wyglądała jak zawsze. Samochody jechały z przeciętną prędkością, ludzie szli normalnie, światła na skrzyżowaniu działały bez zarzutu.

– Nie widzę nic szczególnego. O co panu chodzi?

– Tam! – Niecierpliwie postukał ołówkiem w szybę. – Sklep naprzeciwko...

– Ten, w którym pracuje moja znajoma?

– Tak. Wystawa jest pusta.

– Rzeczywiście. – W jej głosie brzmiał niepokój, ponieważ przełożony nie lubił tracić czasu na drobiazgi. – Tak, nic tam nie ma. Przepraszam, czy mogę odejść? Właśnie zaczęłam...

– Niedługo maj i Dzień Matki, a tam pusto... – Mówił jakby do siebie. – Bardzo dziwne.

– Dziwi się pan, że pani Redford nie umieściła stosownej dekoracji, jak zwykle o tej porze?

– No właśnie – rzekł poirytowany. – Zawsze po jednej dekoracji pojawia się następna z innej okazji. Przez cały okrągły rok, od Bożego Narodzenia do Bożego Narodzenia, kiedy te ich migające światła doprowadzają mnie do szału. Więc czemu teraz nic nie ma?

– Bo pani Redford likwiduje sklep.

Zapadła martwa cisza. McAllister przez chwilę wpatrywał się w sekretarkę oniemiały, z niedowierzaniem, a potem warknął ze złością:

– Likwiduje?

– Tak. I wraca do Rockfield. – Pani Sutton zniżyła głos. – Mogę panu zdradzić, że do wszystkiego straciła serce i moja znajoma bardzo się o nią niepokoi.

Kiwając smutno głową, wróciła do siebie. Straciła apetyt na lunch i nie miała ochoty nawet na ulubiony jogurt. Darzyła Stephanie sympatią, więc było jej przykro, że młoda kobieta jest

nieszczęśliwa. Ani Joyce, ani ona nie zdołały jej pomóc. Spróbowały raz, gdy zerwała z Gouldem. Zaprosiły ją i McAllistera na ślub Giny i sądziły, że McAllister się zakocha. Powinien był zrozumieć, że ma do czynienia z wartościową kobietą. Niestety, zmarnował szansę i dopiero teraz przejawiał większe zainteresowanie losem Stephanie. Teraz, gdy było za późno. Stanowczo za późno.

Ach, ci mężczyźni!

Dwudziestego ósmego kwietnia, od samego rana, Stephanie sprawdzała faktury. Nagle w drzwiach stanął McAllister.

Niebywałe! Wiedziała, że ma przykre wspomnienia z dzieciństwa, więc podejrzewała, że przyście do sklepu z zabawkami nie było dla niego przyjemne. Ciekawe, co go skłoniło do tego, aby się przemóc.

– Dzień dobry – powiedziała drżącym głosem.

– Dzień dobry, Stephanie.

Był w granatowym golfie i spłowiałych dzinsach, ale i w takim stroju wyglądał jak marzenie.

– Proszę. – Podał jej ładnie opakowany przedmiot. – To dla ciebie.

– Ooo! Co to?

– Prezent na pamiątkę z Bostonu.

To znaczyło, że słyszał o jej decyzji i przyszedł się pożegnać.

Trochę przykro jej się zrobiło, że nie zamierza namawiać jej do pozostania. Widocznie była mu dość obojętna. Powoli odwinęła kolorowy papier i zobaczyła poszukiwaną książkę Jamesa Westa.

– Dziękuję – szepnęła wzruszona.

Zapewne długo musiał chodzić po księgarniach, zanim znalazł egzemplarz z wyczerpanego nakładu.

– Mam nadzieję, że nie masz?

– Nie. Chciałam wypożyczyć z biblioteki, ale ostatnio jestem strasznie zagoniona. Bardzo się cieszę, że będę miała ją na własność.

– Miło mi. – Rozejrzał się. – A więc naprawdę likwidujesz sklep. Nie będę krył, że bardzo zaskoczyła mnie wiadomość o przenosinach.

– Nie chciałam likwidować, ale... zostałam do tego... zmuszona. Tony nie chce przedłużyć umowy, która jest do końca kwietnia. – Uśmiechnęła się gorzko. – Kiedyś powiedziałaś, że wiesz, jak on działa. Czy o takich posunięciach mówiłaś?

– Mniej więcej, ale nawet jak na niego jest to skandaliczne postępowanie. Paskudnie się zemścił.

– To więcej niż zemsta. Próbował szantażu i dał mi niedwuznacznie do zrozumienia, że przedłuży umowę, jeśli... do niego... wrócę.

McAllister szpetnie zaklął i zapytał półgłosem:

– Zrobiłabyś to?

– Nigdy! Zresztą teraz widzę, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Wracam do Rockfield, bo życie mi pokazuje, że tam jest moje miejsce. Jestem prowincjuszka i nie powinnam szukać szczęścia w dużym mieście.

– Bzdura. Udowodniłaś, że i tu sobie poradzisz. Posłuchaj, znam sporo ludzi... Jeśli chcesz, popytam i za dwa, trzy dni na pewno znajdę ci miejsce lepsze od tego... Może nie w najbliższej okolicy, ale też w dogodnym punkcie.

– Bardzo dziękuję. Jestem ci zobowiązana za chęć przyjscia mi z pomocą, ale już się zdecydowałam. – Wystraszyła się, że pod wpływem jego troski i uprzejmości straci panowanie nad sobą, więc pospiesznie dodała: – Wymówienie przyszło w samą porę.

– Gould będzie zadowolony, że wyrzucił cię z miasta. Nie dawaj mu satysfakcji.

– On ma niewiele wspólnego z moją ostateczną decyzją.

– To dyskusyjne, ale przyjmijmy, że jest, jak mówisz. Tak czy owak, sędzę, że będzie ci źle w Rockfield. Steph, zaufaj mi i porozmawiajmy spokojnie. – Niecierpliwym gestem przygładził włosy. – Umówmy się na kolację...

– Przykro mi, ale...

Patrzyła na niego ogromnymi oczami w bladej twarzy. Zdawało mu się, że nigdy nie wyglądała tak pięknie, delikatnie i

bezbronne.

– To mnie powinno być przykro.

– Dlaczego?

– Bo chciałem skłonić cię do zrobienia czegoś wbrew woli.

– Moja odmowa wcale nie znaczy, że nie chcę iść z tobą na kolację.

– Nie mówiłem o kolacji. – Oczy mu pociemniały. – Mówiłem... Przepraszam, że namawiam cię, żebyś została. To egoizm z mojej strony, ale... będzie mi ciebie brak.

– Nie powinieneś mówić mi takich rzeczy. – Pobladła jeszcze bardziej. – Kolacja... czy pozostanie tutaj... nie mogę tego zrobić. Najlepiej, jeśli wyjadę. Wiesz, że nie jesteś mi obojętny, więc bezpieczniej, żebym bardziej się nie angażowała. W tych warunkach...

– W jakich?

– Dobrze wiesz, o czym mówię. – Zadrżał jej głos. – Nie ma sensu ciągnąć...

– Czego?

– Tego, co jest między nami.

– Naszego związku?

– Nie. – Roześmiała się niewesoło. – Przecież nie jesteśmy związani. W tym celu ludzie muszą sobie ufać. Muszą się otworzyć, wyjawiać tajemnice, jeśli je mają, oddać się w...

– Panno Redford, ja o pani wiem sporo – rzekł, siląc się na żartobliwy ton.

Doceniła jego próbę potraktowania sprawy z przymrużeniem oka, lecz nie miała zamiaru pozwolić, aby skrył się za tarczą humoru.

– A ja o tobie tyle co nic. Wiem, że byłeś żonaty, ale powiedziałeś mi o tym jakby pod przymusem. Wiem też, że twoja żona w chwili śmierci była w ciąży, ale tego nie usłyszałam od ciebie. Ja opowiadałam ci o mojej rodzinie, a ty milczałeś o swojej. Wiesz, że uwielbiam Boże Narodzenie. Uznaję, że masz prawo nie lubić świąt, ale dobrze byłoby, gdybyś wytłumaczył swą niechęć. Powiedziałeś, że powtórnie się nie ożenisz, ale też nie podałeś żadnego argumentu. Według mnie związek między nami jest niemożliwy. Jesteśmy w ślepej uliczce...

Urwała, ponieważ weszła Joyce.

– O, przepraszam. Nie wiedziałam, że...

– Nie szkodzi. Skończyłaś?

– Tak. Dzień dobry panu. Ładną mamy pogodę, prawda? Steph, idę coś zjeść i będę za pół godziny.

Stephanie zwróciła się do McAllistera:

– Wybacz, ale pojutrze muszę się stąd usunąć i mam jeszcze dużo...

– Chcesz dowiedzieć się czegoś o mojej żonie? – zapytał

nieprzyjemnie ostrym tonem. – Dobrze. Pobraliśmy się, bo...

– Proszę cię, nie musisz...

– Była w ciąży – ciągnął uparcie. – Spotykaliśmy się od ponad roku, ale bez zobowiązań. Ashley była zdolną projektantką mody, miała przed sobą wspaniałą przyszłość, zależało jej na zrobieniu kariery. Mnie to odpowiadało, bo nie szukałem żony. Pilnowaliśmy się, ale coś poszło nie tak. Ashley sądziła, że to z powodu osłabienia po grypie. Byliśmy wstrząśnięci, gdy okazało się, że będziemy mieli dziecko. Nigdy nie planowaliśmy małżeństwa, ale zdecydowaliśmy się pobrać ze względu na jej matkę.

– O, dlaczego?

– Pani Cabot przekroczyła siedemdziesiątkę i po dwóch zawałach była bardzo słaba. Poza tym oczywiście należała do... starej szkoły i... nie chcieliśmy ranić jej uczuć.

– Czy to znaczy, że nie łączyła was miłość?

– Szanowaliśmy się, bardzo – odparł po namyśle. – Ale zostawialiśmy sobie dużo swobody. Bardzo się lubiliśmy, naprawdę, ale miłość? – Pokręcił głową. – Na pewno nie łączyło nas głębokie uczucie, zresztą jestem przekonany, że Ashley nie była kobietą, która chciałaby całym sercem i duszą do kogoś należeć. Spalała się w pracy i sama była jak płomień. Czasami zastanawiałem się, czy nie chce zwolnić ze strachu, że wtedy

plomień zgaśnie i ukaza się cienie. Była dzieckiem słońca, więc nie lubiła cieni.

– Czy byliście sobie bliscy?

– Tak bliscy, jak to możliwe, gdy jedno boi się cieni, a drugie żyje w mroku.

Jego samego zaskoczyło, że się zwierza. Nie pojmował, jak Stephanie sprawiła, że skłoniła go do najbardziej osobistych wyznań. Poczł ból przeszywający serce, gdy opadły go wspomnienia z dzieciństwa. Z wczesnego dzieciństwa, kiedy jego dusza pogrążyła się w mroku, jaki odtąd bez przerwy ją spowijał.

Stephanie, na której twarzy malowało się współczucie, postąpiła krok ku niemu. Odsunął się i podszedł do okna. Odwrócił się plecami, a zaciśnięte pięści wsunął do kieszeni. Mimo to podeszła do niego.

– Twój obraz – zaczęła łagodnie, lecz niepewnie – ten z orłem i pępną doliną. Kiedy go namalowałeś?

– Pięć lat temu.

Czyli po stracie żony i dziecka. Nic więc dziwnego, że obraz był taki ponury.

– Gdy byłam u ciebie, powiedziałeś, że zbudowałeś dom ze względu na widok i idealne warunki do malowania... ale nie masz pracowni.

– Bo jest niepotrzebna. – Odwrócił się gwałtownie. – Już nie

maluję.

Chciała powiedzieć, że szkoda takiego talentu, ale ugryzła się w język. Czowała, że nie pora, by coś takiego mówić.

Zapadło kłopotliwe milczenie, które po chwili przerwał, cicho pytając:

– Czy mogłabyś zamknąć sklep i iść na krótki spacer?

– Dobrze – odparła z wahaniem. – Ale naprawdę krótki, bo tonę w robocie po uszy.

Po ulewie w parku było mokro, więc szli alejką między ławkami, na których siedzieli staruszkowie, matki z dziećmi, młodzi ludzie. Stephanie czowała, że McAllister chce powiedzieć coś bardzo ważnego, więc cierpliwie czekała, aż się odezwie.

– Tamtego roku – zaczął opanowanym głosem – wybrałem się do Vermont w połowie grudnia. Skończyłem pracę nad dużym projektem, więc potrzebowałem trochę odpoczynku. Ashley była szalenie zajęta i nie mogła sobie pozwolić na wyjazd razem ze mną, ale obiecała, że przyjedzie w Wigilię i razem spędzimy święta.

Przystanąła i spojrzała na niego oczami okrągłymi ze zdumienia.

– Zamierzałeś obchodzić Boże Narodzenie?

– Tak, chciałem spróbować. – Wziął ją za rękę i poszli dalej. – Czuję się dziwnie... Wiadomość, że będę ojcem wstrząsnęła mną

i trochę zmieniała... Stopniowo ogarnęło mnie przejmujące i miłe uczucie oczekiwania. Za moją sprawą poczęło się nowe życie, miałem zostać ojcem! Coraz częściej rozmyślałem o tym, jak nam będzie z dzieckiem...

Urwał wzruszony, więc prędko powiedziała:

– Nie musisz mówić, jeśli to zbyt...

– Ashley zadzwoniła dwudziestego trzeciego, późnym wieczorem. Sądząc po głosie, była niezwykle przejęta i... chyba szczęśliwa. Powiedziała, że czuje pierwsze ruchy dziecka i nie może się doczekać spotkania ze mną. Ruchy były wyczuwalne przez skórę i chciała, żebym sam się przekonał. Zrozumiałam, że i jej stosunek do ciąży zmienił się diametralnie.

Zamilkł wzruszony, ale po chwili mówił dalej:

– Dość długo rozmawialiśmy, to była nasza jedyna rozmowa naprawdę od serca. Powiedziałem jej, ile dla mnie znaczy i życzyłem szczęśliwej podróży. Prognoza pogody była bardzo dobra, wszystkie drogi przejezdne, więc nie martwiłem się. Tym bardziej że Ashley świetnie prowadziła. – Znowu umilkł. – Niestety, nie dojechała... Jacyś młodociani ukradli samochód i zaczęli szaleć po okolicznych drogach, aż stracili panowanie nad kierownicą. Zderzyli się z ciężarówką, za którą jechała moja żona... Rozbiło się osiem samochodów.

– O, mój Boże! – Stephanie położyła rękę na sercu. –

Pamiętam, że czytałam o tej kraksie. Zginęło wiele osób.

– Dziesięcioro dorosłych i nie narodzone dziecko. Wiadomość o śmierci córki dobiła teściową i biedaczka zmarła w szpitalu kilkanaście godzin po otrzymaniu tragicznej wiadomości. Czyli w pierwszy dzień świąt.

Stephanie wbiła sobie paznokcie w dłonie, aby opanować się i nie objąć go współczującym gestem.

– Czy... twoja rodzina... krewni wsparli cię w tych ciężkich chwilach?

Stał pod światło, więc miał twarz w cieniu, ale dostrzegła wyraz jego oczu i mróz przeszedł jej po krzyżu.

– Ja nikogo nie mam. Matka zmarła na raka, gdy miałem trzy latka, a ojciec, były bokser, interesował się wyłącznie alkoholem. Zresztą wtedy i on już nie żył. Nie zapomnę go! Nigdy! – Skrzywił usta w gorzkim grymasie. – To jeszcze nie wszystko. Chciałaś, żebym się otworzył przed tobą, więc nie przerywaj. Interesował cię mój dom rodzinny, prawda? Mieliśmy nędzną chałupkę w biednej dzielnicy Seattle. Moje pierwsze wspomnienie z dzieciństwa jest takie: ojciec bije matkę, która krzyczy przeraźliwie. Po jej śmierci pastwił się nade mną, więc moje dzieciństwo...

Stephanie miała oczy pełne łez.

– Panno Redford, czy tyle wystarczy? Takich rzeczy nie

opowiada się kobiecie, z którą człowiek chce się związać. Szczególnie, jeśli ta kobieta ma zżytą i serdeczną rodzinę, jakich mało.

Zamknęła oczy, aby nie widzieć bólu na jego twarzy. Dowiedziała się, dlaczego unikał Bożego Narodzenia i nie będzie mogła wymagać, aby podzielał jej radość w okresie świątecznym. Jemu Boże Narodzenie kojarzyło się z nieszczęściem i śmiercią.

Wiedziała, że mogliby iść przez życie razem, gdyby zrezygnowała z części swych marzeń, ale na razie nie była w stanie rozstać się z najpiękniejszymi, a te dotyczyły tradycji związanej z Bożym Narodzeniem. Poza tym, on proponował jedynie romans, czyli coś nietrwałego, co nie wiadomo, jak i kiedy się skończy.

Nie wyobrażała sobie takiego życia. Potrzebowała do szczęścia rodziny, stałości, pewności. Nigdy nie przeżywała tak wielkiej rozterki.

– Chcę, żebyś jedno wiedziała i zapamiętała. Otworzyła oczy. Na jej długich rzęsach widniały łzy.

– Nigdy nikomu tego nie mówiłem.

– Nawet żonie? Chyba wiedziała, że nie lubisz Bożego Narodzenia?

– Tak, ale nie znała powodów.

– Nie powiedziałaś jej?

– Nie. Dopiero tobie się zwierzyłem.

– Chciałabym...

– Co takiego?

– Żałuję, że nie posiadam mocy zmieniania ludzi i losu. –
Otarła łzy, których się nie wstydziła. – Chciałabym, żebyśmy
byli... inni.

Ujął ją twarz w dłonie i zboląłym wzrokiem przyjrzał się jej – z
bliska, jak gdyby chciał ją na zawsze zachować w pamięci.

– Życzenia spełniają się tylko w bajkach – rzekł głosem, w
którym brzmiała tragiczna nuta. – Chyba zaczynasz rozumieć, że
związek z drugim człowiekiem nie zależy od otwarcia się. To nie
takie proste. Tajemnice, których nikomu nie chcemy zdradzić,
sprawiają, że jesteśmy właśnie tacy, a nie inni. Wyjawienie ich
niczego nie zmieni, więc moje zwierzenia niestety nas też nie
zmieniają.

Przytulił ją mocno, a potem odsunął stanowczym gestem.

– Do widzenia, Stephanie. Życzę ci dużo szczęścia.

Odszedł, nie oglądając się za siebie.

Zdawała sobie sprawę, że postępuje tak dla jej dobra. Jednym
zdecydowanym cięciem przeciął węzeł gordyjski, ale przy tym
niewyobrażalnie zranił jej serce.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W ostatnią kwietniową noc temperatura mocno spadła i pogoda nieoczekiwanie się zmieniła. Rano za oknem było szaro i smutno, jak w sercu McAllistera.

Obudził się rozbity, ponieważ późno się położył i długo przewracał z boku na bok. Gdy wreszcie sen go zmorzył, przyśniło mu się, że coś go dusi jedwabnym sznurem. Widział, jak wokół serca owijają się jedwabiste loki, które lada chwila mogą odciąć dopływ krwi. Delikatne usta, prowokując do pocałunku, dręczyły tak długo, aż doprowadziły go do łez. Zbudził się zapłakany i odetchnął z ulgą, że to był tylko sen.

Ostatnio ani za dnia, ani w nocy, nie mógł oderwać myśli od Stephanie. Z zalem wspominał jej promienną radość życia, która nagle przepadła. Zdawał sobie sprawę, że sam po części jest sprawcą jej przygnębienia, gdyż nie był jej obojętny. Wiedział jednak, że ona ma zasady i nie zgodzi się na romans, który zaproponował, ponieważ uważał, że nie jest w stanie związać się z nikim na stałe. Na jego nieszczęście Stephanie pragnęła więcej: ślubu, domu, dzieci, a przede wszystkim męża, który z nią i dziećmi będzie obchodził każde święta.

Teoretycznie był gotów zrobić bardzo dużo, aby znowu ujrzeć

w jej oczach blask, jaki je rozświetlił, gdy zobaczyła dom rodzinny w Rockfield. Niestety to, czego pragnęła, akurat było jedyną rzeczą, jakiej nie zdołałby jej dać.

Zrobiło mu się duszno, więc prędko wstał od stołu. Gdy otworzył okno, kuchnię wypełniło świeże i chłodne powietrze, niosące zapowiedź śniegu.

Przed wyjściem do pracy, Janey skreśliła kilka słów do przyjaciółki:

Steph, zapowiadano śnieg, więc ubierz się ciepło.

Całuję, Janey.

Wiadomość jeszcze bardziej przygnębiła Stephanie. Śnieg podczas przeprowadzki byłby ukoronowaniem wszystkich nieszczęść, jakie ostatnio na nią spadły.

Usiadła, łokcie oparła na stole, a głowę na splecionych dłoniach i pogрузzyła się w niewesołych rozmyślaniach. Tym razem wcale nie cieszyła się, że pojedzie w rodzinne strony i bez entuzjazmu myślała o spotkaniu z najbliższymi. Wiedziała, że pożegnanie z Bostonem nie będzie łatwe, a najboleśniej odczuje brak Janey, prawdziwej i serdecznej przyjaciółki, na którą mogła liczyć w każdej sytuacji. Beztraska Janey zawsze była gotowa służyć

pomocą lub radą.

Pani Sutton podeszła do regału, ale odwróciła się i rzekła półgłosem:

– Przed sklepem pani Stephanie stoi wóz do przeprowadzek. Przed południem mają skończyć wynoszenie rzeczy, a potem zabiorą się do...

– Proszę teczkę firmy Belleuve – ostro przerwał McAllister. – Przedstawiciel ma być dziś czy jutro?

– Dzisiaj – odparła spokojnie.

Przyzwyczaiła się do oschłości szefa, więc jego groźny ton bynajmniej jej nie peszył. Tym bardziej że miała ważne zadanie do wykonania. Poprzedniego wieczoru spotkała się z Joyce i zgodnie ustaliły, że nadszedł ostatni moment, aby zrobić coś dla nieszczęśliwych przełożonych. Postanowiły jeszcze raz ingerować i za wszelką cenę doprowadzić do spotkania Stephanie i McAllistera.

Wyjęła żadaną teczkę i podała szefowi, któremu dziwnie płonęły oczy.

– Pani Stephanie jest bardzo sympatyczna i bez niej będzie smutno. Chociaż pan pewno się cieszy z wyprowadzki. Nie podobała się panu nazwa sklepu, a światła i dekoracje grały na nerwach. Te na Boże Narodzenie irytowały pana najbardziej, prawda? Teraz będzie pan zadowolony, a jej chyba też będzie

lepiej w rodzinnym mieście. – Za plecami zacisnęła kciuki. – Podobno chce wyjść za mąż i mieć dzieci, a w Rockfield czeka wierny adorator. Młody, przystojny, bogaty. Według mojej znajomej...

McAllister zrobił się purpurowy i gwałtownie odsunął fotel.

– Pani Sutton, muszę przywołać panią do porządku! Zagalopowała się pani! To jest miejsce pracy, a nie... biuro matrymonialne.

– Co też pan... – powiedziała bynajmniej nie speszona. – Jakie biuro matrymonialne? Przecież wszyscy od dawna wiedzą, że jest pan jak najdalszy od myśli o małżeństwie.

Wyszła bardzo zadowolona z efektu, cicho zamknęła drzwi i przysiadła na poręczy fotela. Podniosła słuchawkę, wykręciła numer i patrząc na drzwi do gabinetu szefa, szepnęła:

– Joyce, możesz rozmawiać? Dobrze. Pamiętasz, co ustaliłyśmy? Zrób wszystko, żeby pani Stephanie nie poszła do domu, bo moim zdaniem to kwestia minut. – Uśmiechnęła się na wspomnienie twarzy szefa. – Jestem pewna, że dał się złapać. Teraz twoja kolej. Działaj ostrożnie, ale stanowczo. Nie ustępuj.

Stephanie wyprostowała się, zmęczonym gestem odgarnęła włosy i popatrzyła na czystą podłogę.

– Skończone, możemy zamykać.

Joyce akurat wyrzucała śmieci do pojemnika i zanim odpowiedziała, zadzwonił telefon.

– Ja odbiorę – zawołała. – Ty wylej wodę.

Wylała wodę, umyła ręce, poczesła się i wróciła z zaplecza, a Joyce nadal rozmawiała. Była przekonana, że zadzwonił klient, lecz gdy usłyszała wymówione szeptem nazwisko McAllistera, chrząknęła głośno. Joyce obejrzała się i zaczerwieniła. Speszona odwróciła wzrok, jeszcze przez chwilę słuchała, a potem powiedziała:

– Dobrze, Marjorie. Przedzwonię.

Odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się jakoś sztucznie. Stephanie za nic nie przyznałaby się, że zżerają ciekawość i chciałyby wiedzieć, dlaczego rozmowa dotyczyła McAllistera.

– No, możemy już iść – rzekła nienaturalnie ożywionym tonem.

– Nic tu po nas...

– Ale i nic nie goni, bo wcześniej uporałyśmy się ze sprzątniem. Proponuję, żebyśmy wypily pożegnalną kawę.

Zostało jeszcze pół termosu, szkoda wylać. – Joyce spojrzała na zegarek. – Zresztą, jeśli teraz wyjdiesz, będziesz musiała co najmniej dwadzieścia minut stać na przystanku, a jest piekielnie zimno.

– Hmm, może masz rację. Wypijmy więc tę naszą ostatnią kawę.

Poszły na zaplecze i Joyce napełniła filiżanki.

– Dziękuję. – Po wypiciu kilku łyków zapytała dość obojętnie:

– Jak się miewa pani Sutton?

– Nieszczęśliwie. Ostatnio jest dość markotna.

– Dlaczego? Niepokoi się o Ginę?

– Nie, Giną dobrze znosi ciążę. Ale szef zrobił się nie do wytrzymania, coraz trudniej z nim pracować, więc myśli o zmianie posady. Jest w rozterce, bo przecież wiadomo, że w jej wieku trudno znaleźć dobrą pracę.

– Zawsze mówiłaś...

– Że jest zachwycona. Tak było, zanim...

– Zanim co?

– Nim się zakochał.

– On? – Głos Stephanie zmatowiał. – Niemożliwie. Ten człowiek nigdy nie pozwoli sobie na taką słabość.

– Nie będę się sprzeczać, tylko powtarzam, co Marjorie mówi. Ona chyba trochę zna mężczyzn, bo ma sześciu braci. Twierdzi, że dzięki nim nauczyła się bezbłędnie rozpoznawać pierwsze symptomy zakochania. A z pana McAllistera zrobił się straszny mruk. Jest teraz marudny, nieuprzejmy, wybucha z byle powodu albo i bez. Biedna Marjorie, nie zazdroszczę jej.

– To na pewno chwilowe. Czy poradziłaś przyjaciółce, żeby nie podejmowała żadnych pochopnych decyzji? Czasem trzeba

zrozumieć przełożonego, sama wiesz... Każdy ma swoje złe dni i humory, nawet mężczyźni.

Odwróciła głowę, ponieważ podejrzewała, że Joyce i pani Sutton są przekonane, iż McAllister zakochał się w niej. Tymczasem ona dobrze wiedziała, że to nie jest miłość, lecz zwykłe pożądanie. A człowiek, który nie może dostać tego, czego pragnie, rzadko bywa w pogodnym nastroju.

Pani Sutton zdjęła prześcieradło i odsłoniła oparte o ścianę życzenia Wesółych Świąt Bożego Narodzenia, które wieczorem przyniosły ze sklepu. Joyce miała dużo skrupułów i niechętnie się na to zgodziła.

– Nie powinnyśmy nic zabierać bez pytania – próbowała oponować.

– Cel uświęca środki, a poza tym jutro oddamy.

– Czy twój szef rano nie zapyta, co przykryłaś?

– Założę się, że wcale nie zauważy, bo on u mnie nic nie widzi.

A jak twoja przemiła szefowa? Nie spostrzeże braku jednego pudła?

– Jest tak nieszczęśliwa, że nie zauważyłaby, gdyby i połowa zginęła.

Obie miały rację, ponieważ ani Stephanie, ani McAllister niczego nie zauważyli.

Czując niespokojne bicie serca, Marjorie Sutton nasłuchiwała nerwowych kroków w drugim pokoju; wiedziała, że szef walczy z sobą. Spojrzała na zegarek i uznała, że czas działać, więc wyjęła magnetofon i włożyła taśmę. Najpierw popłynęła cicha melodia. Usiadła więc przy biurku, nastawiła muzykę na cały regulator i podniecona wlepiła wzrok w drzwi.

– Teraz naprawdę trzeba się zbierać. – Stephanie wyrzuciła plastikowy kubek do kosza. – Ty chyba też jesteś gotowa?

Joyce nie odpowiedziała, ponieważ akurat wyszła do pustego sklepu, gdzie jej kroki odbijały się głuchym echem. Nagle zawołała podniecona:

– Stephanie! Chodź, ale prędko! Wyobraź sobie, że sypie śnieg! Już mieliśmy ciepłą wiosnę, a tu znowu zima. Dziwne, co?

– Kwiecień plecień... Przyroda jest kapryśna. – W chwili gdy weszła do sklepu, usłyszała kolędę. – Skąd to słychać? Chyba nie od nas, bo ty swój magnetofon zabrałaś już do domu, prawda?

Melodia dobiegała z zewnątrz, więc zaintrygowana Stephanie wyszła na ulicę. O tej porze zwykle panował duży ruch, lecz teraz wszyscy zwolnili, zasłuchani w niebywałą o tej porze muzykę.

Pod jej wpływem Stephanie oczami wyobraźni ujrzała swe następne Boże Narodzenie. Była w Rockfield, wśród ukochanej rodziny, ale w sercu nie miała ani krzty radości i czuła się bardzo nieszczęśliwa.

Dopiero widząc Boże Narodzenie bez McAllistera, uświadomiła sobie, jak bardzo go kocha. Wystraszyła się, że bez niego nigdy nie będzie szczęśliwa. Bardzo kochała rodziców i całą rodzinę, lecz tylko Damian mógł dać jej wszystko, czego pragnęła. Zdała sobie sprawę, że nadszedł czas, gdy trzeba podjąć najważniejszą decyzję w życiu. Nareszcie była gotowa podjąć ryzyko. I przyjął to, co los przyniesie.

Przede wszystkim zaś dojrzała do tego, aby przyjąć McAllistera na jego warunkach, nie zważając na ograniczenia.

Postanowiła zadowolić się tym, co mógł jej ofiarować, chociaż pierwotnie, głównie ze względu na wspólne dobro, żądała więcej.

Bezwiednie spojrzała na budynek po drugiej stronie ulicy i zdawało się jej, że śni. W oknach na drugim piętrze, u McAllistera, migały czerwone i zielone światełka i kolorowy napis: *Wesołych Świąt...*

Zdumiona patrzyła na własną dekorację świąteczną.

– Coś podobnego – zawołała Joyce. – Nie do wiary!

– Co to ma znaczyć? – spytała Stephanie.

– Myślę, że pan McAllister chce w ten sposób coś ci powiedzieć.

– Ale co?

– Nie wiem. Idź i zapytaj.

McAllister był przekonany, że już nic nie można zrobić dla Stephanie. Wielkimi krokami przemierzał gabinet i był tak zamyślony, że prawie nie słyszał muzyki. Bardzo pragnął uszczęśliwić Stephanie, chciałby przywrócić jej radość życia, lecz wątpił, czy jest to możliwe. Nie wierzył słowom sekretarki.

Pani Sutton zupełnie go zaskoczyła. Nie podejrzewał jej o to, że ośmieli się podstępnie ingerować w jego sprawy. Zirykowany muzyką poszedł powiedzieć, aby ją wyłączyła i na progu stanął jak wryty. Pod ścianą zobaczył szyld sklepu z zabawkami i życzenia, które w grudniu zatruwały mu życie. Pomyślał, że widocznie nie ma przed nimi ucieczki, nawet w kwietniu.

Długo stał zamieniony w słup soli, walcząc z uczuciami, które nim miotają. Dużo go kosztowało, aby opanować się, przynajmniej zewnątrz.

Pani Sutton, która wiedziała, co się z nim dzieje, powiedziała spokojnie:

– Jeśli natychmiast pan nie zadziała, utraci pan Stephanie na zawsze. I potem będzie gorzko żałował do końca życia.

– Co mam robić?

Poradziła, jak powinien postąpić i o dziwo zgodził się, chociaż nie wierzył, aby to było możliwe. Nawet gdyby Stephanie rzeczywiście do niego przyszła.

Zamyślony wrócił do gabinetu. Bał się, że Stephanie dojrzy

pustkę w jego sercu. Wielką pustkę. Nie znał przecież prawdziwego Bożego Narodzenia i nawet nie bardzo orientował się, co te święta oznaczają. Oczywiście wiedział, że tradycyjnie jest choinka, prezenty, rodzinne spotkania, ale czuł, że za tym kryje się coś więcej. Znacznie więcej, a tymczasem on nie miał o tym pojęcia. Stephanie przyjdzie i zobaczy tylko pusty gest, a wtedy wszystko skończy się raz na zawsze.

Podszedł do okna i niewidzącym wzrokiem patrzył na wystawę. Nagle usłyszał za plecami:

– Damian.

Zamknął oczy i poprosił Boga, aby wszystko ułożyło się dobrze. Wątpił, czy Stephanie wybaczy, że ją zwiódł nieoczekiwanym sentymentalnym gestem. Powoli odwrócił się i spojrzał na nią. Była lekko potargana, zarumieniona i patrzyła na niego rozświetlonymi oczami.

– Gdy spojrzałam w twoje okna, zdawało mi się, że śnię. I pomyślałam...

– Że ja się zmieniłem – dokończył cicho. – Chcę być z tobą szczerzy... – Uważał, że szaleństwem jest mówić jej, jaki jest i zaprzepaścić szansę zdobycia ukochanej, a mimo to wyznał: – Przykro mi, nie zmieniłem się. Widzisz, Zamierzałem obiecać, że będę z tobą obchodzić wszystkie święta, co roku, do końca życia. Z jednej strony bałem się, że to by było oszustwo, a z drugiej

świadomość, że jesteś nieszczęśliwa, była nie do zniesienia. Więc pomyślałem, że jeśli w mojej mocy jest sprawić, że będziesz miała oczy jak gwiazdy... Stephanie topniało serce. Chciała rzucić się Damianowi w ramiona i całować go do utraty tchu, ale ponieważ jeszcze było to niemożliwe, powiedziała cicho:

– Zastanowiłam się nad twoją propozycją i chciałabym z niej skorzystać.

– Co? Jaką?

– Powiedziałeś, że możesz pomóc mi znaleźć odpowiedni lokal. Jeśli to nadal aktualne...

– Oczywiście, ale...

– Postanowiłam tu zostać, bo polubiłam Boston. Może masz rację, że wszędzie sobie poradzę. – Opanowała się, by nie zadrżał jej głos. – Poza tym mam tu jeszcze pewną nie załatwioną sprawę.

– O?

– Szkolenie... Trzeba cię trochę podkształcić. – Przechyliła głowę i uśmiechnęła się filuternie. – Kto to widział, żeby przypominać o Bożym Narodzeniu w kwietniu? Jesteś niecierpliwy, w gorącej wodzie kąpany...

– Czemu?

– Do wszystkiego dochodzi się powoli, nikt nie umie wszystkiego od razu. Na szczęście grudzień jest daleko, więc przy dobrych chęciach zdążysz się nauczyć, jak należy obchodzić

święta.

Drgnęła mu grdyka i na ten widok ogarnęło ją współczucie. Wiedziała, że same słowa Boże Narodzenie przygnębiają go, ponieważ łączą się z nimi bardzo przykre wspomnienia. Lecz nawet najgorsze wspomnienia z czasem bledną, szczególnie gdy człowiek ma nowe, radosne i piękne.

Zdawała sobie sprawę, że nie może mu tego powiedzieć, więc ciągnęła lekkim tonem:

– Poprowadzimy szkolenie począwszy od dekoracji noworocznych przez walentynkowe, wielkanocne, na Dzień Matki i tak dalej. Decydujesz się?

Oboje wiedzieli, że najpierw musi rozprawić się z przeszłością i poradzić sobie z tragicznymi wspomnieniami. Wtedy będzie innym człowiekiem i będą szczęśliwi.

Stephanie cierpliwie czekała na odpowiedź.

– Nie jestem pewien – rzekł, podchodząc do niej – czy stać mnie na to, żeby spędzić na przykład Dzień Matki z rodziną Redfordów. – Przygarnął ją do piersi. – Twoja rodzina jest idealna, a czasem trudno wytrzymać z ludźmi bez skazy. – Przysunął usta do jej ucha. – Ty też jesteś ideałem...

– Ależ skąd. – Mocno przytuliła się do niego. – Wszyscy mamy wady. Ciocia Prue na przyjęciach trochę za dużo popija i z każdym flirtuje, wujek Herb jest nudny jak flaki z olejem, ojciec

zawsze i wszędzie się spóźnia, a mama skandalicznie rozpieszcza wnuczęta. Babcie od lat są skłócone, chociaż same już nie pamiętają, o co im poszło. Wystarczy?

– Nadal twierdzę, że to idealna rodzina.

Pocałował ją w usta delikatnie, potem mocniej, wreszcie namiętnie. Stephanie, która nie znała takich pocałunków, poddała się im z rozkoszą, a gdy uniósł głowę, szepnęła:

– Och, Damianie...

– Nareszcie doczekałem się, że mówisz mi po imieniu.

Patrząc mu w oczy rozmarzonym wzrokiem, powiedziała:

– Masz piękne imię. Bardzo mi się podoba. Czy coś znaczy?

– Tak. Ten, kto oswaja.

– Chcesz mnie oswoić?

Zamiast odpowiedzieć, znowu ją pocałował. Gdy odsunął się, by złapać oddech, szepnęła:

– Popełniłeś jeden błąd.

– Jaki?

– Twierdziłeś, że wyjawienie sekretu niczego nie zmienia, ale gdy dowiedziałam się o tym, jakie miałeś dzieciństwo, zrozumiałam, dlaczego jesteś taki, jaki jesteś.

– Czyli?

– Wychowywałeś się bez miłości. Na pewno matka cię kochała, ale za wcześnie umarła, żebyś pamiętał. A ojciec... Jako dziecko

musiałeś być bardzo spragniony miłości. Sądzę, że próbowałeś okazać uczucie ojcu, ale cię odtrącił. Wydaje mi się, że teraz nie chcesz wyznać miłości ze strachu, że znowu zostaniesz odtrącony.

– A gdybym odważył się i wyznał, to co? – zapytał z jakąś bolesną nutą w głosie.

Nie miała pojęcia, jak mu trudno, ponieważ wyrosła w atmosferze miłości i dla niej mówienie o uczuciach było tak naturalne jak oddychanie.

– Spróbuj, a się przekonasz. – Leciutko musnęła palcem jego usta. – Ale bez pytania nie ma odpowiedzi. Więc jak, zapytasz?

Wziął ją za rękę, podprowadził do wysokiego stołka i posadził, a sam przyklęknął na kolano.

– Stephanie... kocham cię... całym sercem. Czy... czy zostaniesz moją żoną?

Z jej oczu popłynęły łzy szczęścia. Nie mogła wykrztusić ani słowa i jedynie się uśmiechała.

Gdy wstał i wziął ją w objęcia, oczy błyszczały mu jak nigdy.

– Cudzie natury! Najdroższa! Musisz się zgodzić. Zginę, jeśli mnie odrzucisz. Powiedz tak.

– Tak, mój ukochany. Oczywiście, że wyjdę za ciebie. – Wspięła się na palce i lekko pocałowała go w usta. – Kiedy się pobierzemy?

Namiętnie oddał pocałunek, a potem rzekł półżartem:

– Ty też jesteś w gorącej wodzie kąpana. Kiedy chcesz wyjść za mnie?

– W czerwcu. Zawsze marzyłam o tym, żeby brać ślub w czerwcu. Błagam, zgódź się.

– Hm, właściwie wolałbym sierpień...

– Nie drażnij mnie!

– Trochę nie zaszkodzi, byle drażnić umiejętnie. – Pocałował ją gorąco. – Jeśli moja ukochana uparła się na ślub w czerwcu, pobierzemy się w czerwcu. Jestem na twoje rozkazy.

– Za tydzień pojedziemy do Rockfield, dobrze? Chcę cię przedstawić rodzicom. I trzeba jak najprędzej wszystko omówić, zaplanować, bo nie mamy za dużo czasu. Ale musi się udać. Wuj Peter jest pastorem, a zatem wiadomo, kto nas zwiąże stulą. Ciocia Prue prowadzi sklep ze strojami dla nowożeńców, więc suknia załatwiona. Chyba dostanę coś ładnego po zniżonej cenie... Jason należy do miejscowej orkiestry młodzieżowej i całkiem nieźle gra, czyli muzyka też zapewniona.

– A kto ma odpowiedni lokal? Babcie?

– Jakbyś zgadł.

– No, to wpadłem z kretesem. Wszystko zostanie w rodzinie. Sami swoi... Czy miesiąc miodowy też możesz załatwić po znajomości?

– Oczywiście. Nie wiem, czy lubisz las, ale wuj Herb ma

domek nad jeziorem, gdzie...

– W każdej chwili każdy może wpaść. Nie, aniele, stokrotne dzięki. Wszystko inne zrobię po twojej myśli, ale o tym, gdzie spędzimy miodowy miesiąc, ja zdecyduję. Pan młody też ma coś do powiedzenia. Uprzedzam, że wywiozę cię za siódmą górę i siódmą rzekę, z dala od rodziny. I będę kochał do szaleństwa dzień i noc.

– Dobrze – szepnęła spłoniona. – Będzie, jak chcesz...

– Dlaczego się zarumieniłaś? – Przyjrzał się jej uważnie i pokręcił głową z niedowierzaniem. – Czyżbyś z Gouldem nigdy... ?

– Nie.

Przytulił ją i chłodną dłonią delikatnie pogładził rozpalony policzek.

– Los naprawdę się do mnie uśmiechnął i zesłał prawdziwy skarb. Nie mogę uwierzyć w tyle szczęścia. Czy wiesz, jak bardzo cię kocham?

– Wiem, ale powtórz jeszcze raz. – Uśmiechnęła się promiennie. – Możesz powtarzać bez końca, bo nigdy nie będę miała dość słuchania tych słów.